

PISMO DLA RODZIN.

№ 33. Warszawa, dnia 7 (19) Sierpnia 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY		
Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8	
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „	
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.	
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.	

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

TREŚĆ: Od Redakcyi.— Omanka powieść przez Jana Zacharjasiewicza (ciąg dalszy). —Zarysy gubernij północno i południowo-zachodnich skreślił Jan ze Śliwina (ciąg dalszy).—Urywek z pamiętnika przez Adolfa Jankowskiego (ciąg dalszy).—O społecznem stanowisku i wychowaniu kobiet przez Bronisława Trzaskowskiego (ciąg dalszy). — Gawędy higijeniczne (ciąg dalszy).—Osobistość a egoizm dziecka. – Za wojennym śladem powieść ze stepów Amerykańskich przez kapitana Meyne Reid'a (ciąg dalszy.)— Biblijoteczka domowa.— Odpowiedzi Redakcyi.- -Ogłoszenia.— W odcinku: Ślady życia XXXIII.

Od Redakcyi.

Z powodu zaszłej potrzeby powtórnego przedrukowania Nr. 32 Opiekuna Domowego, numer ten łącznie z dzisiejszym Nr. 33, doręcza się wszystkim pp. prenumeratorom. Ufamy że zwłoka nie z naszej winy pochodząca—łaskawie uwzględnioną zostanie.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy).

„Niech ci to posłuży za naukę. Być może, że jeszcze nie raz zatrzymasz się przed podobną jak moja Elma lalką, że ujrzysz nawet pewne ruchy i usłyszysz słowa automatyczne — wtedy pilnie uważaj na siebie, co cię do niej zbliża, czy serce i w ogóle motywa szlachetne, czy tylko gra oka lub wyobraźni—nie mówiąc o brzydkim rachunku!....

„Jesteś jeszcze młody, a talent twój może ci niejedną drogę życia otworzyć. Chciej tylko zważyć, że szczęście jest procentem od kapitału, który trzeba wprzódy zebrać usilną i długoletnią pracą i zasługą. Jeżeli bez pracy i zasługi po ten kapitał od razu sięgasz, to sięgasz po mrzonkę!... A wtedy nie skarż się, że na tym świecie nie ma miejsca dla ciebie, bo ten świat nic nie daje za darmo!..

„Wartość twego talentu zależy od pracy, jaką do niego dodasz. Na rachunek przyszłości nikt płacić nie lubi — zamiast więc pozować w salonach jako znakomitość przyszłości, zamknij się na poddaszu i po długoletniej twardej pracy zejdź po laury a zdobywszy je, zażądaj od ludzi przynależnej ci zapłaty!...

„Być może, że talent twój nie wystarczy na to, aby się dostać do wyżyn sztuki. Wtedy szukaj prędko pośledniejszego dla siebie miejsca, które jednak zawsze zaszczytniejsze będzie od owej żebraniny, z jaką do miłosierdzia publicznego wyciągają natrętną rękę niedoszli kapłani sztuki.... Jeżeli cię nie stać na kapłańskie namaszczenie, to bierz prędko siermięgę kościelnego na siebie, a przedewszystkiem nie chciej wybierać już teraz pieniędzy na przyszłe Msze święte, których może nigdy odprawiać nie będziesz!

„Mam nadzieję, że po rzetelnym obrachunku z sobą nie będziesz się na mnie gniewał za to, co się stało. Owszem, wdzięcznym będziesz mi za naukę, którą ci daję na drogę życia!"—

. . . .

Na tem kończył się list Szambora. Floryjan trzymał go jeszcze w ręku i patrzał na niego, jakby jeszcze coś z niego chciał wyczytać....

Cała postać jego zmieniła się teraz. Pierś zapadła się, barki pochyliły się ku ziemi, długie włosy w nieporządku upadły na zamyślone czoło....

A za nim, jakby tło kunsztownej makaty — rysowały się niewyraźnie ulatujące z duszy obrazy, które przed chwilą były jedyną życia rozkoszą!... Przezroczysta i biała jak widmo przesunęła się Salomea z włosem rozpuszczonem.... a tuż za nią wionęła namiętna twarz wyśnionej węgierki, a w dali pomknął starożytny zamek Arpadów....

I cóż się po tem wszystkiem zostało?...

O to — list Szambora!

XXVII.

Słońce zbliżało się właśnie ku zachodowi, gdy długi orszak pogrzebowy wracał z cmentarza do miasta.

Babunia położyła się już do grobu tam nad brzegiem rzeki, gdzie trzy brzózki rosną. Stadko wróbli ćwierka wesoło na gałęziach, a najodważniejsze z nich zlatują na świeżą mogiłę i przypatrują się ciekawie, co znaczy ta kupa czarnej ziemi?...

Z orszaku wracającego do miasta nikt nie pytał, bo wszyscy wiedzieli co ta kupa ziemi oznacza! Widzieli jak do głębokiego dołu spuszczono trumnę okazałą białym krzyżem naznaczoną, jak ksiądz ostatni śpiew zanucił... i jak potem tysiąc rąk cisnęło się aby do tego dołu rzucić grudkę ziemi życzliwej!....

Rabsztyńska była znaną i kochaną w całem mieście. Bolesne wypadki życia wyrzuciły ją ze złudnych wyżyn na poziom przedmieścia, i umiała na tym poziomie utrzymać się z godnością. To też liczny był tłum który ją do grobu odprowadził — i nie jedna łza zwilżyła ziemię, która ją pokryć miała.

Ponieważ o umarłych nic złego mówić nie wypada, zwrócono się do żywych.

— Czy ten siwy jegomość w karecie to jest owym panem Szamborem, krewnym niebo-

szczki? pytała pani komisarzowa swojej towarzyszki.

— Tak jest... to on! odpowiedziała towarzyszka po niejakim namyśle.

— A ta jejmość stara?

— To także krewna ich!

— A gdzież panna Salomea?

— Odwiozła ją kasyjerowa, bo na grobie dostała spazmów!

— Biedna sierota!

— Ha! Sama sobie winna! Czy potrzeba jej było zachodzić w konszachty z muzykiem?..! To przecież nieboszczkę do grobu wtrąciło. Zacna, poczciwa kobieta!

— Teraz będzie mogła wyjść za swego muzyka!

— Ba, gdyby on chciał! Kochał ją niby dopóki był przy niej, a gdy się oddalił, to zaraz za inną rozszalał!

— Czy to być może?

— Przecież napisał list do niej, aby się niczego po nim nie spodziewała!... Tymczasem za jakąś inną pojechał aż do Wiednia! Mówią, że tamta bogatsza od tej!

— Proszę, proszę — co to się dzisiaj dzieje na świecie! Pieniądze wszystkiem!....

— Bo też tych pieniędzy wiele potrzeba! Zgadnij pani ile dałam za tę aksamitną okrywkę? strach powiedzieć!

— Za dobry towar to i dać więcej nie szkoda!... Czy pani sądzi, że panna Salomea zostanie z nami?

— Przecież tak sama zostać nie może!

— Zdaje mi się, że kasyjerowa nie traci nadziei — to przebiegła kobieta! Odwoziła ją do domu z cmentarza!

— O czem pani myśli?

— Przecież był czas, gdzie chciała gwałtem wepchnąć tam swego Karola!

— Zacny, poczciwy, dobry człowiek!

— I dworek dobry, i kamieniczka dobra!

— Ale Salomea nie chciała go!

— Bo to ci ludzie myślą, że są z innej gliny. Trzymała nos do góry, a tymczasem muzyk umknął!.... A zresztą cóż to jest muzyk? Aplikant może przecież zostać komisarzem pierwszej klasy.

— Z dyjetami!

— Mój ty Boże, że to wszystkich te dyjety komisarskie w oczy kolą!... Ja tam nic nie mówię, jeżeli w aptece zamiast droższego proszku dadzą kredę!...

— Daruj mi pani — ale na tem pani się nie znasz!

— To też zostawmy mężom dyjety i proszki!

— Nie mam nic przeciw temu!... Czy sądzi pani że pan Karol dałby się nakłonić?

— Niechciał ani słyszeć o tem, gdy mu notaryjuszowa na pogrzebie półgąbkiem szepnęła!

— Ma racyją! Trzeba przecież hardość ludzi ukarać!

— Zgadzam się z tem zupełnie.

— Ciekawam poznać kawalera, który chciałby się zbliżyć do porzuconej przez drugiego panny.

— Zgadzam się z tem zupełnie!

Gdy więc tak między kumoszkami mimo drobnych sprzeczności najformalniejsza nastąpiła zgoda, rozmowa ich staje się dla nas obojętną.

Ciekawszą jest w tej chwili sama Salomea.

Leży ona w czarnej sukni na małej sofie w tym samym pokoiku, z okien którego patrzała ongi okiem rozmarzonem na domek przeciwległy.

Mimo smutku i boleści wyrytej na twarzy, jest ona cudownie piękną. Tyle szlachetnego uczucia jest w tych rysach delikatnych, tyle pięknych myśli gorzało ongi w tych oczach błękitnych!...

Dzisiaj pozostał tylko ból, który te piękne usta otworzył do skargi.... ale żadna skarga pomiędzy ludzi wyjść nie chciała!...

Leżała niedbale wsparta ręką na poduszce. W oczach nie było łez, bo boleść była od łez większą. Jakaś dzika gorączka paliła się w tych oczach martwych i szklanych, jakby nagle wszelki ruch postradały.

Przy niej siedziała kasyjerowa i od czasu do czasu przytykała jej do twarzy flakonik z orzeźwiającym płynem.

Próbowała kilka razy z nią rozmawiać, ale Salomea nic nie słyszała i nic nie widziała.

Na stoliku w kącie porzucone niedbale leżały małe zwitki papieru. Była to korespondencyja Floryjana z Elmą — dowody jego wiarołomności. Zdaje się, że opiekun chciał heroicznym środkiem uleczyć rozpacz Salomei po śmierci drugiej matki — i na truciznę użył trucizny!

I trucizna dziwnie skutkowała.

Doszło do jej ucha, że w mieście już o tem wiedzą. Złość i zawiść ludzka wystąpiła znowu tutaj jak zawsze przy podobnych wydarzeniach, w barwach najświetniejszych. Opowiadano sobie głośno i do ucha różne rzeczy, prawdę i nieprawdę. Opisywano dosadnie sposób, w jaki Salomeę porzucił muzyk. Jedni utrzymywali, że gdzieś na popasie zakochał się w jakiejś podróżującej harfiarce, drudzy twierdzili, że przyciągnęła go do siebie stara baba, która mu pokazała milijony!...

Tysiące różnych innych rzeczy opowiadano wymyślano najdrastyczniejsze sytuacyje, w których miała teraz pozostać biedna, opuszczona Salomea...

Ale bezecna złość ta miała pewien system i pewną tendencyję. Była to niejako zemsta miejskiego żywiołu, który w aplikancie nieszczęśliwym czuł się upokorzonym!

— Głupia fanaberyja! krzyczał urzędnik pocztowy do ucha strażnikowi dochodów koronnych — głupia fanaberyja popchnęła ją do tego głupstwa! Czyż to urzędnik jest coś tak bardzo niskiego żeby za niego niechcieć iść? Kogóż ona czeka? Czepiła się muzyka, ale ten czmychnął od niej aż za Dunaj!

— Zasłużyła na taką karę— po co to głowę zadzierać do góry, jeżeli wszyscy jesteśmy jednej wiary?

— Słyszałam że jej napisał list niegrzeczny, aby go sobie z głowy wybiła.

— Napisał poprostu: Pisuj do mnie na Berdyczów!—

ŚLADY ŻYCIA.

XXXIII.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Pogadankę dzisiejszą rozpoczniemy od podniosłego nader faktu na arenie życia społecznego. Oto mamy nowy rodzaj emancypantek, któreby dla odróżnienia nazwać można *emancypantkami romantyczno - przyjacielsko-kieszonkowemi*. Czy nie poetyczna nazwa?!... Ale przypatrzmy się bliżej tym szlachetnym obywatelkom. Są to zwykłe na pozór śmiertelniczki, które spokojnie chodzą po ulicach miasta, dopóki nie upatrzą właściwego indywiduum, na którem spełniają pewnego rodzaju przyjacielsko-romantyczno-kieszonkowe operacyje. Hołdując względom przyzwoitości i skromności, dziewice te upatrują tylko osoby płci żeńskiej. Skoro zaś dopatrzą taką, która odpowiada ich życzeniom, rzucają jej się na szyję, i ściskając w tkliwem rozczuleniu, robią scenę przyjacielsko-romantyczną, w czasie której odbywa się zręczna operacyja kieszonkowa. Ufetowanej w ten sposób osobie, zdaje się, że znajduje się w uściskach zacnych dusz, które omyliły się tylko w przedmiocie swych czułych uniesień. Później dopiero, już po niewczasie doznaje strasznego rozczarowania, ujrzawszy w kieszeni fatalne skutki romantyczno-kieszonkowej serdeczności.

Co, czy nie wzniosły obraz?!... Poezyja z prozą, dawszy sobie buzi, wspólnemi siłami rozczulają serca i ulatniają sakiewki.

Mamy więc nowy rodzaj emancypantek, które wyemancypowały się zapewne z jakiego zakładu, któremu obce są wszelkie zasady emancypacyi, i zapewne wkrótce tam znowu powrócą na odpoczynek po długiej pracy nad wzmiankowanemi wyżej operacyjami.

Kiedy mowa o emancypacyi, musimy też donieść wszystkim hołdownikom uroczej Melpomeny, że wyemancypowani na jakiś czas z jej więzów kapłani i kapłanki tej bogini, zwolna powracają do wspaniałego jej przybytku, aby zapukać do wzniosłych popędów ducha naszego. Sądzimy też, że wkrótce reżyseryja nasza odrzuci napowrót do kąta zapleśniałą skrzynkę artystyczną, z której wydobyła tyle rupieci i kilka tylko zaledwie wykwintniejszych rzeczy. Spodziewamy się za to nowości. Już w błogiem marzeniu widzimy porozlepiane na rogach ulic różowe afisze, nęcące świeżością wrażeń prawdziwych wielbicieli sztuki.

Z wyżyn artyzmu przypomnijcie też sobie podniosłe i nowe wrażenie, jakiegoście doznali zapewne z gry p. *Clementiniego* na harmonijce. Słyszeliśmy, że, gdy właściciel Eldoradowej restauracyi narzekał, iż wielki maestro, produkując swój szczytny artyzm w czasie antraktów, odbierze wielu zwolenników szlachetnemu Gambrynusowi, jakiś dowcipniś miał się odezwać: „Nie bój się przyjacielu, gra jego wywrze taki skutek, że na gwałt tu do ciebie uciekać będą,“ co się też w samej rzeczy w zupełności spełniło. Tym więc sposobem w

— Dobrze jej tak! Niech teraz posiwieje tutaj!

— Spodziewam się że żaden tak prędko nie da się złapać!

— A cóż na to pan Karol?

— Tryumfuje!

— Czy mu nie pachnie jeszcze dworek?

— Gdzietam! Kasyjerowa swata go z panną Kamilą!

— A już się uspokoił?

— Dosyć. Szalał długi czas, a nawet obawiano się o jego zmysły — ale teraz jakoś przycichł i pilnie chodzi do kancelaryi. Przed tygodniem był na wieczorku u radcy a nawet wiele rozmawiał z Kamilą.

Tak i tym podobnie rozmawiali ludzie w mieście, a wszystko to jakimś tajemniczym sposobem dochodziło do ucha Salomei.

Ujrzała siebie na pręgierzu opinii publicznej, chociaż w gruncie rzeczy na to może nie zasłużyła.

Cóż bowiem winną była, że swe serce zwróciła ku człowiekowi, który tego serca nie był godzien?

Rady babuni były wprawdzie bardzo dobre, ale trudno znowu było tym radom zadośćuczynić!

Czyż miałto w jej życiu być ów „Oman," o którym wieśniak powiada, że go dla siebie zabiera zły duch w chwili źle strzeżonej? Czy to była chwila życia źle strzeżona, w której ten człowiek dostał się do jej serca?...

Być może, że ten zarzut był prawdziwy — ale Salomea nie uznawała go. Wyrzucała sercu, że ją źle poprowadziło i postanowiła odtąd nie słuchać go nigdy! Serce sprawiło jej tyle boleści, po cóż więc radzić się go na każdym kroku życia?

Salomea nie nie czuła się winną — i cały wyrok spadł na biedne serce, któremu zaprzeczono prawa bytu.

Dzikie myśli zapaliły się w suchych oczach biednej sieroty. Przed temi oczami przesunął się kilka razy cichy i milczący aplikant — ale zaraz na twarz bladą występował rumieniec wstydu!... Wstyd nie pozwalał zawrócić na drogę, na którą iść się nie chciało!... A duma i pycha podtrzymały ten wstyd i wykopały za nim przepaść niczem niewypełnioną!

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił

Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy).

Istnieje jeszcze dom w którym Adam Mickiewicz chrzczony był i dzieciństwo przepędził. Urodził się bowiem niedaleko Nowogródka, w folwarku *Zaosiu*. Dom ten należał do ojca Adama, adwokata Nowogródzkiego, po śmierci którego pozostali trzej synowie sprzedali go Biołtowi regentowi. W tym samym domu umarł później Julijan Korsak, poeta i przyjaciel Adama.

O pół mili od Nowogródka położony piękny majątek *Brycianka*, niegdyś własność Jezuitów, a w r. 1774 nabyty przez Jerzego Białopiotrowicza, pisarza lit. Już po za domem zaczynają się kurhany-mogiły z epoki bronzowej. (Zbadałem kilkadziesiąt z nich jeszcze w r. 1856). Bardzo wiele takich kurhanów w około Nowogródka, jak i w całym powiecie.

Ulicą i traktem Walówskim, jadąc na *Gnilice*, *Przyłuki* (należą do *Czombrowa* majętności Karpowicza), w lesie, po lewej stronie przed karczmą mnóstwo kurhanów, tak samo koło *Walówki* (skarbowe dobra, niegdyś Niezabytowskich) nadzwyczajnej wielkości kopce.

Jadąc tą drogą, prowadzącą do *Horodyszcza* (skarbowe miasteczko), śród lasu, stajemy przed pięknym *Switeziem*, uwiecznionym przez wielkiego poetę. Dziwne to jezioro! Ma ono w sobie coś czarującego. Woda czysta jak w źródle. Brzegi jakby umyślnie ocembrowane drobnemi różnokolorowemi kamykami. Jak wieńcem okala go do koła las; dęby, brzozy, jadłowiec schylając swe czoła przed zaklętem jeziorem, odzwierciadlając się w niem. W dali po za jeziorem widać *Pieszczankę* (dawniej Niezabytowskich) i *Mratycze* (dobra rządowe). W niektórych miejscach po nad samym brzegiem, pnie olbrzymich dębów, poprzedzielane ze schylającemi się ku wodzie gałęziami tworzą jakby wał jaki mozaikowy. Tu przesiadywał i marzył całe godziny Adam.

Jezioro obfituje w szczupaki, okunie i liny. W karczemce zwanej także *Switezianką*, mieszkał (w 1856 r.) stary leśnik. „A cóż, powiedział do nas, kiedy już te *panienki*, o których *panicz* pisał, niepokazują się więcej!" Mówił to z żalem, że już ich nie ma, ale z przekonaniem, że się dawniej pokazywały. Za Switeziem dużo jest kurhanów.

O pół mili od drogi z Korelicz, jest okolica *Łowczyce* zasiedlona przez tatarów, którzy tu i meczet swój mają. Tu także mnóstwo kurhanów.

Korelicze o 3 mile od Nowogródka, na trakcie do *Mira*, należały do ordynacyi Nieświezkiej, przed tem dziedzictwo książąt Czartoryjskich, dziś księcia Witgensteina, który tu wielką fabrykę cukru założył. W znacznych tych dobrach grunta najżyźniejsze.

O milę od Nowogródka jest majętność *Kamionka* O'Rurka, na bardzo wyniosłem miejscu, tem odznaczająca się, że stąd widać trzy gubernije i cztery powiaty; gubernije: Mińską, Wileńską i Grodzieńską; kościół w *Iwje* w Oszmiańskim, kościół w Lidzie, *Zdzięcioł* w Słonimskim. Między Kamionką a Lidą na 3 mile ciągnie się las.

Tak samo w *Łohotkach* (w r. 1856 p. Ludwika Piotrowicza) jest wysoka góra, z której widok na mil siedem (Nowogródek, Mir, *Turzec*, *Zdzięcioł* niegdyś własność Ostrożskich, później Radziwiłłów, w końcu Sołtanów).

Szczorse dziedzictwo zamożnego domu Litaworów-Chreptowiczów. Głośny Joachim Chreptowicz zgromadził tu znakomity księgo-

---

w oryginalnym boju pomiędzy sztuką a bawarem, ten ostatni odniósł zupełne zwycięztwo, na chwałę i pożytek pp. Brejbiszów, Haberbuszów, Kijoków i Jungów.

Co za ironija losu!... O sztuko, sztuko!... O wielki maestro zaiste, hańba ci wieczna i harmonijce twojej.

Za to dobroczynne zabawy jakoś lepsze mają powodzenie. Niedawno odbyła się w parku Aleksandryjskim zabawa kwiatowa bez loteryi i liczną zgromadziła publiczność. Nie myślcie jednakże, szanowni czytelnicy, aby w gronie tych, co pośpieszyli tam zabawić się ochoczo, a i przyczynić się do ulżenia losu nieszczęśliwym biedakom, znajdowała się znana z dobroczynnych popędów, elegancka publiczność nasza. Broń Boże!... Bo trzeba wam wiedzieć, że dobroczynne i wszelkiego rodzaju zabawy dzielą się u nas na dwa rodzaje: 1) *bon ton* 2) *mauvais ganre*. Zaliczenie do pierwszej lub do drugiej kategoryi zależy od kaprysów mody. Tym czasem ta wszechwładna pani odwróciła się z niechęcią od uroczego ustronia parku pragskiego; z tej też przyczyny i wierna jej a dobrze wychowana dziatwa nie raczyła tam zawitać. Tak więc tylko ludzie źle wychowani wsparli źle wychowanych nędzarzy, za co im się serdeczne należy podziękowanie.

Municypalność nasza pomyślała też i o innych biedakach, a mianowicie o tych nieszczęśliwych indywiduach, które nie mając własnych powozów i nie mogąc płacić za dorożki, muszą pieszo używać gimnastyki na chodnikach grodu naszego. Dwie tu były drogi do zaradzenia złemu: 1) albo naprawić chodniki, 2) albo założyć szpital dla nieszczęśliwych ofiar tej gimnastyki, a komitet dla wsparcia pozostałych rodzin. Drugi środek, jako zanadto kosztowny odrzucono, i wzięto się do pierwszego. Tym więc sposobem jest nadzieja, że będziemy mogli wkrótce bez niebezpieczeństwa utraty życia chodzić po ulicach poczciwej Warszawy.

Na zakończenie tej wstępnej pogadanki, musimy też zobaczyć, co się dzieje w komitecie dla wsparcia pogorzelców prowincyjonalnych. Oto krząta się on ochoczo około zbierania ofiar, nie wysyła ich jednakże na miejsce przeznaczenia, oczekuje bowiem nowych pożarów, aby przecież i nowych biedaków nie pokrzywdzić. Co to znaczy mieć oko baczne na przyszłość i umysł przewidujący wszystko. Nie daremnie się też jest członkiem dobroczynnego komitetu, to jest jednym ze znanych dobroczyńców cierpiącej ludzkości.

Srodze obraziliśmy na siebie Redakcyją Tygodnika Illustrowanego, albowiem oto śmieliśmy dotknąć zoilowskiem piórem, utworu, który gościł niegdyś w szpaltach tego poważnego organu. W zuchwałości swej, nie pomni na to, że, skoro Redakcyja Tygodnika uznała ten płód literackich myślątek za godny unieśmiertelnienia w szpaltach swego pisma, musi więc być dobrym, śmieliśmy powątpiewać o tej jasnej jak słońce prawdzie.

Nie myślimy tu powtarzać wypowiedzianych już raz zarzutów przeciwko samej treści utworu. Szanowny obrońca z Tygodnika utrzymuje, że p. Jordan nie zbłądził wcale, „kreśląc dwie postacie panów Marka i Agapita w taki sposób, iż kazał im być łatwowiernymi przez

zbiór, z rzadkich dzieł, przeważnie polskich złożony. Zbiory te znakomicie pomnożył Adam hr. Chreptowicz. Biblijoteka Szczorsowska jest jedyną w swoim rodzaju, która zawiera największą ilość i najdawniejszych atlasów i mapp Polski i Litwy.

Mir, dawniej *Myrch*, nie należy do dawnych osad. Były to dobra Iliniczów, później Radziwiłłów, w których Mikołaj Krzysztof *Sierotka* wzniósł okazały zamek, z wałem i przekopem. Ruiny zamku, bramai cztery bastyjony ocalały dotąd. W Mirze od lat niepamiętnych zamieszkali *cyganie*. Mają oni tu swoje domy i ogrody. Karol Radziwił *Panie Kochanku* był ich szczególnym protektorem. Mirscy cyganie stanowili pewien rodzaj arystokracyi cygańskiej. Z nich wybierano starszego, którego zwykle zwano *królem*, a ten był panem życia i śmierci nad wszystkiemi cyganami w Litwie. Ostatnim takim królem pod koniec przeszłego stulecia był Jan Marcinkiewicz *mieszczanin i obywatel* miasta Mira. Jeździł w karecie, do której zaprzęgano 12 koni, otoczony hajdukami. Dawał wspaniałe uczty, na których kilka razy nawet *Panie Kochanku* był obecny. Cyganie mirscy nie tylko nie gardzili rzemiosłem, ale nawet zakładali na większą skalę fabryki wyrobów sukna, płótna i skór. Wszystko to dawno upadło, wszakże i do dziś dnia kilku cyganów jest tkaczami. Musiały być jednak liche wyroby cyganów, skoro pozostało przysłowie Białoruskie: „majstar z Mira, szczo ciau, to dzira,“ t. j. majster z Mira, czego się dotknie, to dziura. Przechowały się jeszcze w niektórych kościołach, cerkwiach i domach prywatnych dawne wyroby cyganów, a płótno ich odznacza się zawsze trwałością i dokładnością wyrobu.

Mir słynął zawsze jarmarkami na konie, na ś. Mikołaja 9 maja i także na ś. Mikołaja 6 grudnia; oba trwały po 4 tygodnie. Tu właśnie znajdowały odbyt znaczniejsze stadniny Chreptowiczów, Wereszczaków, Obuchowiczów, Wojniłowiczów, Rajeckich, Rdułtowskich i innych. Jarmarki trwają do tego czasu, chociaż nie są już tak znaczne.

Ławryszew, niedaleko Szczors, głośny starożytnym monasterem założonym przez księcia Wojsiełka syna Mendoga. Wojsiełk i sam około roku 1260 opuścił był rządy książęce i czas niejaki przebywał w zakonie. Po 340 leciach swojego istnienia monaster ten przemieniony został, po 1600 r., na klasztor Bazylijanów.

Lubcz, nad Niemnem o mil 6 od Nowogródka. Aleksander Jagielończyk nadał tę majętność Fedce Chreptowiczowi, pisarzowi swemu; od niego przeszła do Gastoldów, a w końcu do Kiszków. Jan Kiszka, kasztelan wileński, sławny bogacz i protektor protestantów, około roku 1592 założył tu drukarnię dla swych współwyznawców. Istniała ona 63 lat i ogłosiła nie mało druków, szczególnie aryjańskich. Drukarzami tu byli Piotr Blastus Kmita, syn jego Jan Kmita, ostatnim Jan Lange. Dzieła wydane w Lubczu należą dziś do rzadkości biblijograficznych. Mieszkańców w Lubczu liczą 1,126, domów 205.

Horodyszcze, skarbowe miasteczko, nad *Serwiczą* i *Horodyszą*. Już samo nazwisko świadczy o starożytności tej osady, a stwierdzają wały i fosa, do dziś dnia istniejące, chociaż zrujnowane. Mieszkańców około 600 głów, domów około 120.

Obryna, niedaleko Miru, Konstantego Kaszyca, posiada fabrykę wybornych serów, które zyskały medal na wystawie Warszawskiej. U właściciela oprócz rozmaitych przedmiotów sztuki, z których niektóre, np. obrazy, są bardzo cenne, jest bardzo znaczny zbiór porcelany saskiej. d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Matka, spojrzawszy na ojca, a widząc przed sobą dzielnego wojaka, z twarzą przystojną i zarumienioną, oraz pięknemi błękitnemi oczami, gorejącemi iskrą szlachetnego oburzenia, stanęła jak w ogniu. Ojciec zaś na widok jej zmieszał się i zawstydził, a złagodniawszy, natychmiast od stołu cofnął.

Ale ujrzawszy przed sobą młodą panienkę piękną jak pączek róży, żadną miarą przeprzeć się już nie dał, i tem silniej trwał teraz w uporze zajęcia u dziadka kwatery.

Oboje rodzice opowiadali mi potem, że zakochali się w sobie od pierwszego spojrzenia. Matka przyznała się nadto, że było to w dzień Ś-go Andrzeja, a poprzedniej nocy śniło jej się, że widziała ojca mego w czarnym zapiętym pod górą surducie, wstążeczką legii honorowej ozdobionym, jak stojąc z czerwonym w ręku parasolem, dziadkowi oświadczał się o nią.

Ona tedy, co nie drżała nigdy, i nie traciła nawet przytomności w obec bomb i granatów Sandomierskich, ujrzawszy teraz po owym śnie ojca na jawie, w takim samym ubiorze, i tak samo dzielnym a pokaźnym—jak go we śnie roiła wstrzęsła się w pierwszej chwili mimowolnie, i słów nawet w gębie zapomniała.

Matka, wierzyła w moc przywiązania do niej dziadka. Widząc tedy że rzeczy stanęły na ostro, ze złożonemi rękami rzuciła się między przeciwników, błagając dziadka, aby się uspokoił.

I zawdzięczając też gorliwej córki inicyjatywie stanął ojciec mój w domu dziadka, ale ponieważ było to gwałtem na dziadku wymuszone, niczego już doprosić się nie mógł z rzeczy do kwatery swej należących. Nie dbał przecież o to, bo pieniądz był w kieszeni, a śliczna Pepi co dzień idąc i wracając z matką z kościoła, posyłała mu ukradkiem słodkie do okna spojrzenie. A wymowny wzrok Pepi, odpowiadał nadzieją, na gorące miłości zapały, które ojciec w otwartym liście do babki wynurzył — oświadczając bez ogródki iż Pepi kochaną równo tylko z życiem wydrzeć mu z piersi mogą. I wzrok ubóstwionej, aż nadto też osładzał gorzką pigułkę — jaką dziadek — ojcu posyłał.

---

własną uczciwość, nieznającymi Warszawy, i wpadającymi przy lada okazyi w łapkę podstępu i oszustwa.“ Bardzo pięknie!... Ale za cóż ów p. Jordan kazał być tym poczciwym szlagonom kompletnymi idyjotami, i to w najpospolitszem tego słowa znaczeniu, dla czego pozbawił ich zupełnie zdrowego rozsądku?— gdzie, śmiemy zapytać, znalazł on podobne osobistości, w obec których bardzo małoletnie nawet indywidua byłyby prawdziwymi ideałami rozsądku i zaradności. Nie przeczymy, że w obranej przez autora sferze społecznej znajdują się jednostki, które można chłostać biczem satyry. Ale szukajmy w życiu prawdziwych wad i śmiesznostek, a nie twórzmy karykatur, wplątanych w naciągane sytuacyje. Nie cofamy bynajmniej zdania swego, że p. Jordan ciężką krzywdę wyrządził społeczeństwu naszemu, przedstawiwszy jedną z podstawowych sfer jego w najjaskrawszem świetle głupoty i niezaradności. Gdyby obok tych postaci stała chociaż jedna, uwydatniająca lepszą cząstkę tej klasy społecznej, prędzej by można przebaczyć skarykaturowanie ujemnych typów. Ale, powiedzże sam, łaskawy obrońco, gdybyś ztak był cudzoziemcem, i nie znając społeczeństwa, którego pewną warstwę masz tu przedstawioną, ujrzał podobne typy, cóżbyś pomyślał o tem społeczeństwie? Czy litość i pogarda nie owładnęły by duszą twoją?

Że utwór p. Jordana nie jest powieścią, ale szkicem, to nie upoważnia jeszcze autora do podobnej produkcyi ujemnych postaci.

Nie myślimy tu powtarzać, w formie dowodów, samych sytuacyi utworu. Bezstronny czytelnik, uśmiawszy się z nich należycie, gdyż rzeczywiście są pełne prawdziwego komizmu, poczuje odrazu nienaturalność i sztuczne naciąganie. Weźmy tylko, jako przykład, zdarzenie z omnibusiarzem. Indywiduum to jest do tego stopnia bezczelne, iż żąda, wynagrodzenia za szkodę, przewyższającego znacznie całą wartość omnibusu, a władza policyjna akceptuje to zdzierstwo niesłychane. Czyżby doprawdy Warszawa była jaskinią łotrów i zdzierców, akceptowanych przez władzę. Piękna rzecz!...

Pomijamy tu już podobne wybryki autora, jak ucharakteryzowanie jednego z braci szlachty na prawdziwego tchórza, co było potrzebnem dla wytworzenia pewnych efektów. Powtarzamy tu tylko, że gdyby nas Redakcyja Tygodnika raz jeszcze miała ogłosić za nieznośnych optymistów, nie odstąpimy od wypowiedzianego zdania, że postacie pp. Marka i Agapita są jedynie wytworem myślątek humorystycznej weny, a nie żywymi typami społecznymi!

A teraz, odpłacając się pięknem za nadobne, zwrócimy uwagę szanownemu krytykowi, że łatwiej jest wykazywać komu mniemane błędy językowe i gramatyczne, lub rzeczywiste nawet, które niekiedy w pośpiechu pisania wkradnąć się mogą, aniżeli samemu ich uniknąć. Szanowny obrońca z Tygodnika, jeżeli już chce zoilowskiem piórem podkreślać cudze usterki, winien sam unikać takich grubych błędów, jak: *musiemy*, zamiast „musimy,“ *tym razem*, zamiast „tą razą“ (razem ma zupełnie inne znaczenie). Dalej, nie powinien używać podobnych niewiadomo skąd wyrwanych wy-

Nie chciał dziadek jednego mieć wojaka — drugiego za to na kwaterę dostał. Po wyjeździe bowiem ojca z Sandomierza na czas jakiś do Galicyi za familijnemi interesami — przyniesiono w nocy do opróżnionej kwatery, ciężko rannego w pojedynku oficera—wyższego stopnia a sama litość wzbraniała już odmawiać mu schronienia.

O ile znów ojciec energicznym był i porywczym o tyle tamten łagodnym, — a Trocki się nazywał.

Dziadek pasyjami lubił hiszpańską gitarę i szczególniej chwytał ją z ochotą do rąk, w chwili wzruszenia — lub melancholijnego usposobienia. A grał na niej smętne dumki ukraińskie, przyśpiewując sobie, dźwięcznym i silnym barytonem.

Z liczby piosnek ulubionych, była tam jedna do śmierci, której każda strofka—kończyła się następującym dwu wierszem:

„Śmierć zawsze przyjdzie, śmierć nie przebiera,
Śmierć wszystkie troski zabiera.

Trocki, z ciężkiej rany swojej nad spodziewanie wszystkich wylizał się a po ozdrowieniu, niezwykłą cierpliwością i łagodnością charakteru, łaski dziadka posiadł. Opowiadał on tedy dziadkowi, jako śmiertelnie chory i samotnie w łóżku leżący, wyobrażał sobie dobitny śpiew za drzwiami, że dziadek koniecznie śmierci mu życzyć musi, gdyż śpiewa zawsze:

„ . . . . śmierć nie przebiera,
Śmierć wszystkich — Trockich zabiera."

I zdobył nareszcie pan pułkownik — szczęście swoje Józię ubóstwioną! powiózłszy ją do ślubu w kościele księży Trynitarzy na Solcu w piękny pogodny wieczór sierpniowy, historycznym swoim niebieskim karyklem, nowym jeszcze wówczas zupełnie.

Dzielna klacz siwa, Kaśka nasza rżąc wesoło, biegła jak strzała, a czterech dzielnych galantuomo, z których dwaj byli oficerami ułanów i szasserów, z liczby tych co to za namiestnictwa Księcia Konstantego Cesarzewicza, pod płaszczami z grubego żołnierskiego sukna, zielone atłasowe nosili podszewki, eskortowali konno rodziców w koło karykla. Zapłakana pani Orł. z rozrzewnieniem przyjęła od ślubu w swoje objęcia Pepi kochaną sierotę—i wziąwszy ją wraz z ojcem do swej poczwórnej karety, na huczne do domu aż do dnia białego zawiozła wesele.

Wszakże, dzień weselny matki, nie odbył się bez domowego kłopotu i mitręgi. Brat pana Orł. był lunatykiem. Skoro jednak na wesele zjechał, przy rwetesie, rodzina na śmierć o lunatyctwie jego zapomniała. Gdy zaś na obrzęd takowy mnóstwo kobiet do familii Orł. należących zjechało się również z odległych stron i wszystkie kątki były już zajęte,—nie mając przeto gdzie dogodnie pomieścić lunatyka, wpakowano go do wielkiej sali balowej zupełnie na jutrzejsze wesele wyszykowanej.

Księżyc świecił jasno w pełni, a cała sala napełniona była blaskiem jego. Nasz lunatyk zatem, wstał sobie najspokojniej po północy, i tak gorliwie krzątał się do rana, że cały porządek w sali do góry nogami wywrócił.

Z okien pozdejmował firanki, z drzwi portyjery i pracowicie poskładał takowe. Następnie pozwieszał lustra, poprzestawiał obrazy, poodejmował brązy od ścian i nawet obiciom mebli nie przebaczył. Że zaś ślub matki miał odbyć się w poobiedniej godzinie dnia tego, a wszyscy domownicy jak zwykle przed weselem tak byli zajęci, że nie wiedzieli w co wprzód ręce włożyć, łatwo sobie tedy wyobrazić przerażenie klucznicy, gdy wchodząc rano do pokoju ze śniadaniem dla lunatyka, ujrzała go pogrążonego w głębokim śnie, i taki symetryczny nieład w sali zaprowadzony.

Widzieliśmy wyżej, że matka moja bardzo była przywiązaną do ojca i poświęconą córką. W każdem jednak zdarzeniu, daleko więcej czułości i tkliwości okazywała ona matce swojej. I z wielkiem też wewnętrznem zadowoleniem — opowiadała mi wypadek w którym Bóg, widocznie okazał jej łaskę swoję wynagradzając to nieograniczone do rodziców przywiązanie.

Babka ciężko raz zachorowała.

Zwołano natychmiast doktorów. Radzili, opatrywali, zapisywali rozmaite maści i leki, ale nie wiele to pomagało, gdyż bok bolał babkę coraz mocniej, i w coraz gorszą tylko zapadała chorobę. Już od dwóch tygodni nie brała do ust żadnego pożywienia, i tylko spała a spała nieustannie. Matka moja tedy, nóg jej i łóżka nieodstępowała. Sama słała jej, sama na własnych rękach — przenosiła ze służebnemi, smarowała i opatrywała, a pilnowała lekarstw ordynowanych przez lekarzy, sama już w końcu nie wiedząc jakiemiby środkami ulżyć bolesnej chorobie, gdyż wszystkie dotychczasowe starania w niebezpiecznym stanie babki, najmniejszego nie robiły skutku.

Matka, rzucała się nieraz w rozpaczy na kolana, i gorąco błagała Boga o ratunek z nieba, — o wskazówkę jaką dla siebie.

A nie spała już całe dwa tygodnie; gdyż niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą i stawało się coraz groźniejszem a zgorączkowana matki wyobraźnia przerażające tworzyła obrazy.

Więc jeśli i zdarzyło się jej zdrzemnąć czasem chwilę jaką wśród nocnej ciszy, to sen przerywany był bolesnemi jękami chorej, i wśród przykrych widziadeł, przerażona zrywała się na równe nogi.

Siedząc tak po całych dniach i nocach z załamanemi rękami w rozpaczy, a myśląc, rozważając,— przyszła matka wreszcie do stanowczego przekonania, że cała ta kuracyja zła, i że chwycić się tu należy zupełnie innych radykalnych środków, a rzucić w kąt leki wszelkie i smarowania. Bok chory stawał się coraz czerwieńszy a puchnął niezmiernie, i babka prawie oddychać nie mogła. Ale trudno matce było dociec wszakże, jakiemiby rzeczywiście być winny owe środki zaradcze a istotnie skuteczne?

---

razów, jak *perypetyje*, lub też kazać panom Markowi i Agapitowi, aby „przechodzili arcy-komiczne *fazy* bytności swej w Warszawie." Szanowny felijetonista Tygodnika Illustrowanego, zbrojny tak głęboką erudycyją gramatyczną, a przytem współpracownik tak poważnego organu, powinien, wprzód nim przystąpi z krytycznem piórem do podkreślenia cudzych błędów, sam swoje należycie poprawić, czego mu w przyszłości z całego serca życzymy.

Czy wiecie czytelnicy, jakiej broni używają pewne indywidua literackie, jeżeli im ktoś z młodszych pracowników pióra śmie zrobić krytyczną uwagę. Oto, nie bawiąc się w żadną uczciwą polemikę, uważają za dostateczne nawymyślać mu od małoletnich. Panom tym przypominają się owe błogie czasy szkolne, kiedy to się patrzyło z dumą na młodszych kolegów, nazywając ich pogardliwie *prymakami*. Nie hańba być małoletnim pod względem wieku, ale zasłużyć na to miano brakiem taktu i nieuszanowaniem własnej godności literackiej, oto smutna dola pewnych indywiduów, które nie uchylą się od najbardziej ubliżającego im samym wystąpienia, aby tylko zadowolnić chwilowy popęd gniewu. We wskazanych wyżej wybrykach narażają oni tylko na śmieszność swą pełnoletnią powagę. W każdym razie szanowny humorysta z *Kolców* przyznać musi, że ostatnie jego przeciwko nam wystąpienie, było szczytem komizmu, z którego nawet małoletni śmiać się mają prawo. Panowie, lichą a dziecinną walczycie bronią!... A jesteście tak pełnoletni!...

O gdybyśmy mogli zajrzeć pod osłonę zakulisowych dziejów w świątyni miejscowej Melpomeny! Dowiedzielibyśmy się jaśniej o tem co tylko w formie niepewnych wieści dochodzi do uszu naszych. W każdym razie sądzimy, że nie popadniemy w błąd, jeżeli zgodnie z mniemaniem ogółu, pod przykrytą szczelnie kotarą, wyobraźnia nasza dopatrzy pewne koteryjne intrygi ze strony osobistości, które stojąc na świetniku artyzmu, obawiają się każdego nowego a wybitnego talentu, aby nie przyćmił otaczającej ich skronie aureoli wielkości. O sztuko! sztuko! czemuż nie zajmujesz się lepiej wychowaniem pierworodnej dziatwy swojej, czemuż świątynia twoja zamienia się niekiedy w kretowisko niegodnych intryg i koteryjności? Oto prawdziwe talenta daremnie pukają do wrót twoich. Kto je tak szczelnie trzyma zamknięte?... Różne o tem chodzą pogłoski. W każdym razie trudno dopatrzeć przyczyny, dla której panna *Deryng* zyskała zaledwie jeden debiut, a p. *Rychter* nie może przypomnieć się starym znajomym i wielbicielom swoim. Nie dajemy wiary krążącej wieści, jakoby artyści ci mieli szukać gościnności aż pod skrzydłem Gambrynusa w jednym z ogródkowych przybytków sztuki. Gdyby jednakże miało to rzeczywiście nastąpić, wtenczas należałoby śmiało zedrzeć maskę, pokrywającą zakulisowe intrygi tych znakomitości, które pragną wziąść sobie sztukę w monopol.

Z dyrektorów trup prowincyjonalnych, które goszczą w tym roku w mieście naszem, największe niezaprzeczenie zasługi poniósł pan

Gdy tak codzień tedy męczy się i biedzi nad wynalezieniem stanowczego jakiegoś środka ratunku, nagle spostrzega jednej nocy, z niezmiernem przerażeniem, że oddech babki stał się cięźkim, a ciało kurcząc się w boleściach sztywnieje już. Jęk głuchy nadto wydzierał się z ust zaciśniętych chorej, i widocznie zbliżała się już ostatnia godzina, a babka najwyżej pożyć mogła do rana.

Nie widząc znikąd ratunku, tylko co chwila groźniej— zbliżającą się marę śmierci, matka szalała w rozpaczy, wyrywając włosy z głowy, i targając na sobie ubranie.

Deszcz lał z nieba gwałtownym potokiem, i dobrze już było po północy, gdy matce stojącej na środku pokoju z twarzą rękami zakrytą błysła myśl jakaś w głowie. Nagle więc odrywa ręce od czoła i wybiegłszy na podwórze, wpada do stajni, a zbudziwszy wiernego Walka każe mu co tchu zaprzęgać konie do lekkiej krytej bryczki.

Walek, zbudzony chce zwrócić uwagę jej, na straszną niepogodę na dworze, ale matka nie znosiła oporu. Skinęła mu zatem rozkazująco, i Walek umilkł, nie sprzeciwiając się tem bardziej, że wszyscy słudzy panienkę kochali, a on mianowicie też nie rad by był na siebie ją obrażać.

I za chwilę stała już zaprzężona bryczka do drogi, a w parę minut matka szalem owinięta, wysiadła przed domem wybornego miejskiego chirurga i ojca zarazem ośmioga drobnych dzieci. Chirurg, w całej okolicy Sandomierza—wzięty był bardzo, tak dla swej nadzwyczajnej przytomności umysłu i wielkiego w fachu uzdolnienia, jako też odważnego serca, a co wszystko, przy ważnych i często przez niego dokonywanych operacyjach, niezmiernej było wagi.

Na nieszczęście, nie było go w domu. Co tu czynić. Dwór do którego wezwano go przed kilku godzinami leżał o półtory mili od Sandomierza, a matka w śmiertelnej trwodze lękała się słusznie, że jak to się często zdarza mogą wezwać chirurga, gdzieindziej. A wówczas, wszystko byłoby straconem.

Nie waha się przeto nie namyśla ani chwili i kazawszy tylko zapalić latarnię, bo droga szła przez gęsty las, wskakuje do bryczki, i wśród strasznej burzy i ulewy, pędzi do wsi co konie wyskoczą.

Mimo spóźnionej nocy, zamęt we dworze był wielki, bo dziedzic był wdowcem: — a śmierć groziła tam również osieroceniem kilkorga drobnych dziatek. Ale na szczęście, było już po operacyi, i tylko mocno spracowany chirurg, ocierał twarz z kroplistego potu.

Matka przypadła z prośbą do niego ale usłyszawszy o co chodzi, wzdrygnął się on i zawołał:

— Pani moja! ja nie mogę tego uczynić. Żądasz chyba nieszczęścia mojego.

Matka rzuciła mu się do nóg. Chirurg bronił się usuwał...

— Wszak jesteś ojcem dzieci? wołała łkając? masz żonę!... a matka moja umiera!

— Pani miej litość nademną. Zgubisz mnie i dzieci moje zostaną bez chleba. Zastanów się? żądasz rzeczy niepodobnej. A jeśli nie powiedzie mi się? jeśli matce twojej — chcąc dopomódz, zaszkodzę, straszna za to odpowiedzialność.

Matka włóczyła mu się u nóg na kolanach a z rąk go nie wypuszczała i wołała tylko:

— O Boże! Ratuj matkę moję!... Nie puszczę!

— Ale zmiłuj się pani! zgubisz nas wszystkich pospołu. To straszna odpowiedzialność. A jeśli ręka mnie zawiedzie, jeśli ta operacyja chybi... i zabiję matkę twoję?

— Och! nie. nie! Jedź pan tylko ze mną natychmiast, bo każda minuta droga! A ona tam umiera!... Nie bój się niczego! Ja ci ręczę za wszystko!... Wiem że pan jeden uratujesz jej życie!

I póty nie puszczała chirurga a włóczyła się u nóg, to za połę to za ubranie chwytając póty prosiła i błagała ze łzami aż nareszcie chirurg zmęczony, i wzruszony tak głębokiem dziecka przywiązaniem, bronić się przestał, — i rzekł:

— Ha! niech się już stanie wola Boża — i wsiadłszy z matką do bryczki cwałem popędzili do Sandomierza.

Gdy stanęli przed domem babka żyła jeszcze, ale słaby jej oddech, ręce prawie zimne i policzki przerażającej bladości—zbliżanie się śmierci zwiastowały.

Burza, oślepiające błyskawice i pioruny— na chwilę nawet nieustawały, ale chirurg nie tracąc minuty—zrucił z siebie przemokłą odzież, odwinął kołdrę z chorego boku, i zakasawszy rękawy u koszuli—kląkł a obmacawszy wygórowaną i siną już narośc,—zanurzył w nią głęboko—swój dobroczynny lancet.

Babka jękła; z rozciętej rany gwałtownie i obficie trysła materyja, a po chwili, chora westchnęła głęboko i otworzyła oczy. Była już uratowaną!

Matka, płacząc z radości pocałunkami zaczęła wtedy—okrywać skrwawione ręce chirurga, ale on — broniąc się od tego objawu wdzięczności, podniósł ją z ziemi, i wzajemnie matkę po rękach całując powtarzał:

— Że to dla niej tylko—Bóg mu pozwolił babkę uratować, chcąc nagrodzić przywiązanie dobrej córki.

Któż opisze radość matki, gdy w trzy tygodnie po operacyi, zaczęła już zwolna oprowadzać po pokoju, osłabioną jeszcze babkę moję.

Wspomniałem też wyżej, o biskupie Prosperze Burzyńskim. Biskup osobisty przyjaciel dziadka nieboszczyka—cnotliwym był bardzo człowiekiem i zacnym pasterzem owczarni swojej. a w życiu stosował się w całej czystości prawdą ewangeliczną, bez żadnej przymieszki, bigotyzmu, lub faryzeuszowskiej pobożności.

Napoleon I-szy, walczył z armiją swą pod piramidami, a biskup w Egipcie był wielkim kapelanem legijonów, i codziennie zasiadał do cesarskiego stołu. Skoro zaś tam jak wiadomo—postów nie obserwowano, rozumie się

Grabiński. Zaprodukował on przed pewną częścią publiczności naszej, która nie zawsze hołduje podniosłym wyżynom sztuki, kilka najszczytniejszych jej utworów, i, co ważniejsza, przeniesie jej ideały i w zakątki partykularza naszego.

Do największych arcydzieł sztuki muzycznej należy bez zaprzeczenia „*Wolny Strzelec*“ *Webera* przedstawiony w zeszłym tygodniu w Tivoli. Prawda i prostota, podniesiona do wyżyn wzniosłości i ideału, oto znamiona szczytnego artyzmu. Baśnia legendowa opromienia go bujną fantazyją, w której mieni się tysiące poetycznych blasków.

Z przyjemnością też zaznaczyć musimy, że wykonanie nie ujęło żadnego prawie kwiatka z tego uroczego bukietu piękna. Jeżeli nie było ono doskonałem, czego żadną miarą od p. Grabińskiego żądać nie możemy, przynajmniej nie ubliżało w niczem podniosłej sztuce. Jeżeli wykażemy tu pewne usterki, to jedynie w formie wskazówek na przyszłość, aby z usunięciem drobnych braków podniósł się wyżej jeszcze poziom artyzmu, z jakim produkcyja ta wykonaną została.

P. *Fileborn* w roli tytułowej nie zawiódł oczekiwania naszego. Pierwsze tylko tony były trochę niepewne i niewycieniowane. Z biegiem akcyi gra i śpiew stawały się poprawniejszymi i bardziej dramatycznymi, a kilka ostatnich aryi wykonane zostały prawie bez zarzutu. Co się tyczy gry, radzilibyśmy tylko pozbycia się pewnych jednostajnych manijer w ruchach rąk i całego ciała.

Rolę Agaty wykonała pani *Wierzbicka* z znaną już dramatycznością, wdziękiem i umiejętnością użytkowania niezbyt wysokiej skali głosu.

P. *Trojącki* wywiązał się wcale przyzwoicie, z dosyć trudnej roli Kacpra. Pragnęlibyśmy tylko słyszeć w śpiewie jego staranniejszą intonacyją. Prócz tego, w pewnych chwilach artysta bierze niższą, niżby należało oktawę.

P. *Patiuszenko* w roli Pustelnika śpiewał dobrze, z właściwą i czystą intonacyją, tylko jakoś bez werwy, zapału i dramatyczności. W każdym razie widzimy tu wielką różnicę od występu tego artysty w Halce. Zdaje się, że lepsza dyspozycyja głosu jest główną tego przyczyną.

Panna *Laskowska* grała dobrze, ale śpiewem dowiodła, że tylko lekkie partycyje operetkowe są właściwym dla jej wokalnych zdolności popisem.

Chóry śpiewały dosyć poprawnie. Za to orkiestra, szczególniej w pierwszym akcie często niemile wyrządzała śpiewającym figielki.

Ubiory i cała wystawa nader wykwintne i starannie, podniosły efekt całości.

O muzo, daj mi lutnię swoję, abym wyśpiewał hymn pochwały na cześć faktu, który nie tylko winien zachwycić, ale zarazem zawstydzić wszystkich, którzy tak często podnoszą ostrze satyrycznego noża przeciwko przybyszom z Zachodu, a w rzędzie ich i felijetonistę waszego. Bo też podobnego rodzaju fakt jest rzadkim nader wyjątkiem. Oto *Alkazar*, idąc śladem miejscowych teatrzyków, postanowił przyoblec w szatę dobroczynności i swą nadsprejską Melpomenę, czyli mówiąc prościej,

zatem że i on pościć nie mógł, spracowanym będąc dzień cały jak i inni kapelani nieustannem niesieniem posług chrześcijańskich. Że zaś trudno tam było, a nawet niepodobna myśleć o sporządzaniu sobie w obozie jakie goś postnego posiłku, biskup zatem zasiadał pospołu z innymi, do obiadu jaki zastał, a na ofiarę Bogu, wyłączał tylko z niego potrawę którą najbardziej lubił. I miłość bliź niego też jak u wielu nie była w ustach jego — czczym wyrazem, gdyż biskup dla wdów po poległych i sierot, całą płacę swoję miesięczną oddawał, i wyzuwał się zupełnie ze znacznych dochodów dyjecezyjalnych. Nieraz też widziano go jak wchodził pod namiot żołnierski, i zwłóczył ze siebie ostatnią koszulę gdy ta potrzebną była dla okrycia nagiego, lub dla rannych na płaty do opatrunku.

Biskup Prosper, zakonnik, — reformat, zszedł ze świata tego śmiercią tragiczną. Jak wieść niosła bowiem miano go znaleść w wigiliję pogrzebu z rozciętym brzuchem, na katafalku kaplicy kościelnej, gdzie ciało z insygnijami biskupiemi wystawionem było. Złoczyńca jakiś, obdzierając zwłoki, dla zdobycia kosztownego ametystowego pierścienia uciął palce biskupowi w chwili, gdy on niespodzianie z latargu powstał, i przywaliwszy poduszką z pod głowy, w okrutny sposób zamordował go. Lecz ktoby był sprawcą owej zbrodni nigdy podobno nie wyśledzono.

Dosyć jednakże było takich, którzy w tragicznem tem zdarzeniu widzieli zemstę osobistą i różnie o tem mówiono. A prawdopodobnem to nawet było, gdyż biskup pasterz zacny nię znosił nadużyć klasztornych, surowo karcąc występnych. I okoliczność ta właśnie, zwrócić miała przeciw niemu niechęć niezadowolonych, a fas ne tas z tak ścisłej klauzury — wyłamać się pragnących.

Bądź co bądź, zbrodnia padła jak kamień w wodę i najściślejsze śledztwa razy kilka wznawiane do wykrycia prawdy nie doprowadziły. Tylko jeszcze w lat wiele potem głuche już i bez podstawy wieści, roznosiły się po świecie, o powodach wielce tragicznego wypadku owego.

d. c. n.

O SPOŁECZNEM STANOWISKU I WYCHOWANIU KOBIET.

PRZEZ

Bronisława Trzaskowskiego

Dyrektora Wyższej Szkoły Żeńskiej w Tarnowie.

(ciąg dalszy).

W obec tych faktów muszą zamilknąć owe apryorystyczne na pół uczone, na pół dowcipne rezonowania, że kobiety z natury swej nie kwalifikują się do publicznego życia. Otwórzmy im tylko podwoje tego życia, a zobaczymy, że nas w nie jednym prześcigną względzie. A że zajęcie się sprawami publicznemi ze strony, kobiet mianowicie wolnych nie nadweręża w niczem rodziny, tego dowodzi ta sama Anglija, gdzie rodzina, szczególnie w średnich warstwach społeczeństwa na równie silnych, równie moralnych, a może silniejszych i moralniejszych spoczywa podwalinach, niż u nas. Czyż rodzina polska, francuska lub niemiecka nie miałaby znieść tego, co się w Anglii wcale nie szkodliwem okazało?

Lecz między tem politycznem równouprawnieniem kobiet, które dla rozlicznych i głęboko zakorzenionych uprzedzeń i przesądów nie tak prędko nastąpi — a owem cywilnem, które faktycznie na całym kontynencie Europy z małemi ograniczeniami istnieje, leży w pośrodku pewien zakres czynności, do którego kobiety przypuszczone być pragną, jak np. delikatniejszy przemysł, kupiecka rachunkowość i prowadzenie handlu, dokładniejsza znajomość różnych metod gospodarstwa wiejskiego, służba pocztowa i telegraficzna, praktyka lekarska, nauczycielstwo i w męzkich szkołach elementarnych i t. p. A nie są to lekkomyślne zachcianki, lub chorobliwe jakichś tam niczem nieusprawiedliwionych emancypacyjnych dążeń objawy — ale kategoryczne postulata osobistej wolności kobiet, jak nie mniej radykalnych zmian, jakie zaszły w naszych ekonomicznych i przemysłowych stosunkach. Najprzód musimy przyjąć jako niezachwianą zasadę, że kobieta uprawnioną jest ekonomicznie do wszystkich zajęć, do których jest uzdolnioną. Jest to wynikiem osobistej wolności, której przecie kobietom nie odmówimy. Powtóre niesłychany wzrost i coraz większe rozszerzenie maszynowej roboty, która po coraz to nowe przedmioty sięga i takowe ręcznej odbiera pracy, powszechne zaprowadzenie maszyn do życia i zastosowanie ich w wielkiej industryi, ogromne zmiany w podziale i rozdziale pracy według płci większe udoskonalenie techniki środków produkcyjnych i idąca wślad za niemi coraz to większa trudność wczesnej zmiany w wyborze innych zajęć ręcznych, coraz to twardsze warunki egzystencyi klas średnich w skutek nowożytnej organizacyi stosunku kapitału do pracy, coraz to późniejsze i rzadsze zawieranie małżeństw w wyższych warstwach średnich stanów... wszystko to są fakta, które na zmianę ekonomicznego stanowiska kobiet stanowczo wpływają.

Najprzód chciwy zysku a skąpy w zapłacie przemysł większy ściąga do siebie coraz więcej sił roboczych kobiet i dzieci, obojętny na moralne klęski i fizyczną ruinę tych ofiar, obojętny na szkody, jakie przez to wyrządza rodzinie, utrudniając przygotowanie do domowego życia, tamując wypełnianie obowiązków tegoż życia i przenosząc punkt ciężkości działania matki i gospodyni od zajęć domowych na publiczną robót targowicę. Trudno się spodziewać, aby prawodawstwo mogło zaradzić temu złemu. Staranie o zasadnicze warunki fizycznego i moralnego dobra klas roboczych, a szczególnie kobiet i dzieci, jest niezawodnie obowiązkiem prawodawstwa, od którego w żaden sposób usuwać się nie powinno. Jakoż najnowsze ustawodawstwo szkolne w państwie austryjackiem stara się uczynić

---

urządzić widowisko na rzecz pogorzelców prowincyjonalnych. Artystyczne dusze „Vaterlandu“ poczuły się do obowiązku złożenia skromnej daniny społeczeństwu, które im gościnne otworzyło wrota. Zresztą fakt ten bardziej zasługuje na uznanie, że w znacznej części znajdują oni poparcie tylko u miejscowych współrodaków swoich. Nasza zaś publiczność hołduje słusznie swojskiej tylko Melpomenie. Dzięki więc, serdeczne dzięki!...

Piśmiennictwo nasze zbogaca się w ostatnich czasach coraz nowemi źródłami, z których zaczerpnąć można wiadomości o prywatnem i publicznem życiu największego z wieszczów naszych. Po jego własnych korespondencyjach, nastąpiły *Listy A. E. Odyńca*, gdzie na powszedniej częstokroć tkance życia widzimy postać śpiewaka opromienioną prawdziwie poetycznym blaskiem, gdzie dusza wieszcza odkrywa nam ukryte tętna swoje, wiele tajemnic rzucających światło na pewne strony twórczości poetycznej.

Teraz znowu wyszły z druku „*Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu*,“ opowiedziane najmłodszemu bratu Józefowi Mickiewiczowi przez panią *Maryją z Mickiewiczów Górecką*.

Sądzimy, że teraz już badacze literatury ojczystej nie mogą narzekać na brak źródeł, do skreślenia wiernego obrazu życia i twórczości wielkiego wieszcza naszego, i mamy niepłonną nadzieję, że Mickiewicz doczeka się wreszcie takiego przynajmniej studyjum, jakie Małecki skreślił o Julijuszu Słowackim.

Okrutna mara samobójstwa, która tak się rozgościła w obcych krainach, i do nas niekiedy zagląda. Często prowadzi ją za sobą blade widmo nędzy, nad przepaścią której staje ojciec z liczną zazwyczaj rodziną. Kryzysy finansowe, jakie często bardzo w ostatnich czasach nawiedzają główne ogniska ruchu ekonomicznego, są przyczyną tych smutnych zjawisk. U nas, dzięki Bogu, nie pojawiają się dotąd podobne sytuacyje. Mimo to jednakże wypadki samobójstwa zdarzają się dość często. Przyczyną ich bywa zwykle albo słabość charakteru, niezdolnego znieść mniejszych nawet przykrości życia, lub jakiś duch rozczarowania i znudzenia. Częstokroć zdarzają się indywidua, które nie widząc przed sobą jasno wytkniętego celu, ulegają pewnemu anormalnemu nastrojowi duchowości, który w postaci bladej mary bajronizmu kołata się jeszcze w społeczeństwie, wchodzącem zwolna na drogę trzeźwej myśli i czynu. Uroczy a zwodniczy amorek bywa też tu często winowajcą. Najczęściej jednakże nienormalny stan ducha jest przyczyną smutnej katastrofy.

A wiecie też, jaki powód tego zjawiska przytacza pewien arcy-pobożny organ prasy warszawskiej. Oto składa on winę na „pewne teoryje przez niektóre pisma i księgi propagowane.“ Brawo!... Szczyt humorystyki!... Szanowny organ motywuje swoje zdanie bardzo uczonemi cytatami, zaczerpniętemi z podręcznika księdza Putiatyckiego. My, chociaż nie posiadamy tak głębokiej erudycyi, śmiemy jednakże zaprotestować przeciwko tak stanowczemu twierdzeniu. Zaiste niedługo wszystkie 7 grzechów głównych wraz z wszelkiemi wykroczeniami przeciwko przykazaniom bo-

zadosyć temu obowiązkowi. Ale sam głos prawa nie wystarczy tutaj. Nierównie więcej może na tem polu zdziałać dobrowolna troskliwość i staranność oświeceńszych przyjaciół ludzkości, jak tego piękne przykłady widzimy w Anglii.

Lecz idźmy dalej. Piękny to ideał tych, którzy żądają, aby mąż i ojciec sam starał się o utrzymanie rodziny; żona zaś i matka aby była tylko gospodynią domu, zawiadowczynią dochodów przez męża uzbieranych. Tylko w zamożniejszych rodzinach jest żona taką gospodynią i zawiadowczynią; w niższych warstwach społeczeństwa brała kobieta wszędzie i zawsze czynny udział w zarobku i dostarczaniu potrzeb domowych. Przypatrzmy się tylko ludności wiejskiej w całej Europie, jak ona po wszystkie czasy pracowała i pracuje po za domem dla własnego lub cudzego gospodarstwa. Ta potrzeba pracy przeniosła się dzisiaj do uboższych klas średnich warstw społeczeństwa. Przy coraz twardszych warunkach egzystencyi nie potrafi dzisiaj w tych klasach sam ojciec familii zarobić na uczciwe jej utrzymanie; musi więc żona i dorosłe córki przyczyniać się także do tego utrzymania. A jakiż tego wynik? Oto najprzód ten, że kobiecie należy otworzyć drogę do wszelkich zajęć, do których jest uzdolnioną, powtóre ten, że wychowanie powinno ją i w tym kierunku należycie przysposobić.

Wiadomo powszechnie, że w wyższych warstwach średniej klasy społeczeństwa coraz więcej wzmaga się bezżenność, a to głównie w skutek coraz to większych trudności w założeniu i utrzymaniu rodziny. Jestto stan w organizmie społecznym równie anormalny, jak owa praca matek i niedorosłych dzieci w fabrykach. Otóż zasada osobistej wolności każdego człowieka wymaga nieodzownie, aby niezamężnym tej klasy kobietom rozszerzyć zakres ich powołania i nadać większą samoistność w życiu społecznem. Trudno bowiem zezwolić na to, aby kobiety tych klas, nie mogące lub nie chcące iść za mąż, a nie mające rodziny, któraby je utrzymać mogła i chciała nie miały innego wyboru, jak tylko klasztor, albo nędzne utrzymanie z szycia, lub co nieraz stokroć jest uciążliwszem, obowiązek guwernantki. Jak dzisiaj rzeczy stoją, możnaby statystycznie obliczyć cyfrę kobiet wspomnianej klasy, nie umiejących zarobić na życie po jakiej bądź klęsce, jaka ich spotyka, czyto z powodu śmierci rodziców czy męża—a cyfra ta wypadłaby ogromna. Te, które odebrały jakie takie wykształcenie, choćby powierzchowne, rzucają się na guwernantkę, zawód trudny i niewdzięczny, ale jedyny, jaki obrać mogą. Po za nim nie mają żadnego pola, na którem zdołały sobie zapewnić jakie takie utrzymanie. Nie umiejące zarobić sobie na to utrzym nie ręczną pracą, a nie przysposobione do nauczycielskiej, narażone są na nędzę i jej smutne następstwa. Niezmierna liczba rzemiosł i innych zatrudnień, nadających się wybornie dla kobiety, zostaje przez nie nietkniętą. Próby, jakie dotychczas u nas tu i owdzie czyniono, nie udały się dla braku wytrwałości i dla przesądu, pozwalającego na cierpienia i niedostatek kobiety, a nie pozwalającego na podźwignienie jej pracą, zawsze uczciwą i szlachetną. Któż z nas nie słyszy codziennie gorzkich utyskiwań kobiet na ich osierocenie społeczne. Chcą pracować sumiennie i gorliwie a przesąd i rutyna wszędzie je odpychają obojętnie lub pogardliwie. A jednak podając kobiecie pomocną rękę, zapewniając jej byt materyjalny drogą osobistego trudu i osobistej zasługi, nie tylko przyczyniamy się do dobra publicznego, użytkując tyle odłogiem leżących wybornych sił, ale i równouprawiamy kobietę pod względem społecznym najskuteczniej, a zarazem umoralniamy ją stokroć trwalej, aniżeli deklamując jej reguły i przepisy życia, które biednej i opuszczonej szyderstwem wydać się mogą. Nie mogę na tem miejscu zostawić bez odpowiedzi zarzutu tych, co utrzymują, że sposobienie kobiety do samoistnego ekonomicznego stanowiska stoi na zawadzie rozwojowi i wykształceniu tych własności charakteru, z których ma wyrość kiedyś jej domowe szczęście i pełnienie obowiązków domowych. Umiejętność i doświadczenie uczy, że wszelkie wykształcenie, czy to ogólne czy specyjalne, nie tylko nie stoi na zawadzie wytwarzaniu się charakteru, ale owszem wytworzenie to silnie i skutecznie wspiera. Jeżeli coraz więcej wzmagającą się bezżenność uważamy za chorobliwy stan społeczeństwa, to najlepszą i jedyną na to radą jest uzdolnienie kobiet przez odpowiednie wychowanie w produktywnej pracy. Uzdolnienie to zastąpi im kapitał i ułatwi związki małżeńskie, które bez tego nie mają stosownej podstawy. W Anglii i Francyi zrobiono to doświadczenie, że dziewczęta, które w specyjalnych instytutach uzdolnione zostały do pewnych rzemiosł lub technicznych czynności, bardzo prędko powychodziły za mąż.

Wskazaliśmy wyżej niektóre rodzaje zajęć nadających się wybornie dla kobiety. Do wielu z tych zajęć przypuszczono już kobiety w niektórych krajach, mianowicie w Anglii, Szwajcaryi, Danii i niektórych państwach niemieckich. W wielkiem księstwie Badeńskiem zajmuje obecnie kilkadziesiąt kobiet miejsce przy urzędach telegraficznych i pełni obowiązki te ku zupełnemu zadowoleniu władz przełożonych a w niektórych większych miastach niemieckich istnieją już dla kobiet osobne szkoły handlowe i przemysłowe.

Przeciw dwu rodzajom tych zajęć jest atoli jeszcze bardzo silna opozycyja, przeciw lekarskiej praktyce kobiet i przypuszczeniu ich do nauczycielstwa w szkołach męzkich. Przeciwnicy lekarskiej praktyki kobiet utrzymują z jednej strony, że sztuka lekarska potrzebuje gruntownego wykształcenia, do jakiego kobieta wznieść się nie potrafi; z drugiej strony, że estetyczne uczucie kobiety nie zgadza się z tą praktyką. Oba te zarzuty są płonne w obec doświadczeń, jakie w tej mierze dotychczas zrobiono. Angielscy i amerykańscy lekarze twierdzą, że kobiety poświęcające się nauce medycyny dochodzą z łatwością do średniej kwalifikacyi naszych lekarzy, a w niektórych kierunkach doprowadzają jeszcze dalej. Co się tyczy drugiego zarzutu, to wiadomo pow-

---

skim i prawom ludzkim będą przypisywane szatańskim pokusom, jakie mieszczą w sobie owe teoryje, przez niektóre pisma i książki propagowane. W każdym razie zauważymy pobożnemu organowi, że nie potrzebnie miesza się do nauki, która bynajmniej do jego atrybucyi nienależy. My nawzajem nie myślimy mu przeszkadzać w kontemplacyi myślątek i w pobożnych rozmyślaniach.

Kiedy strach to rwetes! „Mądry Polak po szkodzie!“ Niektóre miasta prowincyjonalne, nauczone smutnym przykładem, krzątają się usilnie około zorganizowania *straży ogniowej*. Najenergiczniejsza działalność rozwija się w *Łęczycy*. Widzimy tam nawet pewien entuzyjazm. Oby tylko nie ostygł niebawem! Przy formowaniu listy ochotników znaczna część pełnych odwagi indywiduów rwała się gorączkowo jeden przed drugim. „Odtąd możemy spać spokojnie“ — mówi Kaliszanin.

Ale... ale... i tu jest *ale*, i to wielkie nawet. Oto straż jest prawie gotowa, brakuje tylko drobnostki: — porządnie przygotowanych narzędzi ogniowych i niezbędnych do tego funduszów. To już rzecz municypalności!... wołają szanowni agitatorzy. Jednakże trzeba będzie otworzyć sakiewki, co, mamy nadzieję, bez wielkiego bólu serca uskutecznicie. W każdym razie pochwalamy wasz zapał, powtarzając tylko raz jeszcze stare przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie!!!....

Przykrym jest zaiste widok eksploatacyi, jakiej ulegają kieszenie najuboższej nawet klasy społecznej ze strony niewyczerpanych w pomysłach przybłędów niemieckich. Od pewnego czasu pojawia się na ulicach naszego miasta jakaś kobieta z ptakami, wróżącymi przyszłość za pomocą wyciągania kartek, na których znajdują się właściwe napisy. Ludność uboga a ciemna licznie otacza niegodną wyzyskiwaczkę, i chętnie oddaje jej ostatni krwawo zapracowany grosz.

Władza policyjna winna wdać się w to i nie dozwalać na podobnie niegodną eksploatacyją. Mamy Towarzystwo opieki nad zwierzętami. Możnaby się też postarać o podobną opiekę nad ciemnem pospólstwem, które łatwo da się wyzyskać pierwszemu lepszemu wydrwigroszowi.

Do miłych dochodzimy rezultatów. Wiecie czytelnicy, jaki środek podaje pewna filantropijna osobistość przeciwko groszożądnym skłonnościom adeptów Merkurego. Oto proponuje, aby zdejmowano fotografie, ze wszystkich pracowników mających styczność z pieniędzmi, a to celem łatwiejszego wyśledzenia zbiegów ze skradzionym groszem. Ślicznie postawiliście się łaskawi panowie! Niedługo poradzą przywiązywać was do jakich nieruchomych przedmiotów, aby tym sposobem przeszkodzić ulatnianiu się z [illegible]ścią, zaczerpniętą ze szkatułek pryncy[illegible]ów. W każdym razie pomysł to genijalnej mózgownicy, i godzien aby oblicze jego twórcze najprzód było unieśmiertelnione ku chwale wieku i społeczeństwa naszego. Więc dla kilku niecnych indywiduów, mamy oddać pod pręgierz niesławy całą klasę społeczną i może umiesz-

szechnie, że przecież siostrom miłosierdzia powierzamy bez najmniejszej obawy pieczę około chorych obojej płci; w wielu szpitalach, a nawet w lazaretach wojskowych przyjmowano dobrowolnie zgłaszające się kobiety. Podczas ostatniej wojny prusko-francuskiej kształciło się w królewskiej Charitè wiele pań i panienek wyższych stanów na posługi około chorych, a to razem z uczniami pewnego sławnego chirurga, który nauki u łoża chorych udzielał—a jednak nie raziło to nikogo i nie upatrywano w tem nic niewłaściwego lub nienaturalnego *). Otóż nie wstrętem lub uprzedzeniem ale doświadczeniem należy się w takich sprawach kierować — a doświadczenie przemawia wyraźnie za przypuszczeniem kobiet do praktyki lekarskiej. Państwo zaś nie może mieć w tem żadnego moralnego interesu, żeby nie przypuszczać kobiet do tej praktyki, jeżeli okażą potrzebne uzdolnienie.

Co się tyczy nauczycielstwa kobiet i w męzkich szkołach, sądzę, że kobiety z natury swej więcej mają do tego uzdolnienia niż mężczyzni. Duch kobiety zbliża się niezaprzeczenie w swym rozwoju więcej do ducha dziecięcego i młodzieńczego niż duch mężczyzny. Mężczyzna zatapiający się w umiejętnych abstrakcyjach traci przez to samo po największej części zdolność do nauczycielstwa dzieci; oddalił się bowiem za daleko od sposobu zapatrywania i pojmowania dziecięcego. Prawie cała nasza nauka w szkołach elementarnych i średnich jest dla tego, że spoczywa wyłącznie w ręku mężczyzn, za oderwaną dla pojęcia dzieci, za scholastyczna i za pedantyczna, za niecierpliwa i za nadto rozkazująca. Właśnie dla tego, że duch kobiecy pomimo całej i wszelkiej kultury nie wychodzi tak łatwo po za obręb dziecięcego pojęcia, dla tego jest kobieta zdolniejszą na nauczycielkę dla dzieci niż mężczyzna. A któż z nas wyrówna jej w cierpliwości, miłości i poświęceniu, tych nieodzownych warunkach pomyślnego wychowania dziatwy. Musimy więc uznać w tem bardzo mądre urządzenie natury, że duch i serce kobiety zawsze tak blisko są spokrewnione z duchem i sercem dziecka. Mnie się zdaje, że kobiety są jakby stworzone na nauczycielki i że, jeżeli tylko pobierać będą gruntowną naukę, czego dotychczas nie było, przejdzie wkrótce nauka w szkołach elementarnych a nawet w niższych kursach szkół średnich w ręce nauczycielek; albowiem na tem polu nie wytrzymają mężczyzni konkurencyi z kobietami. Trzeba tylko, aby kobiety na tem polu poczuły swą siłą i swe powołanie, i to jest jednym dowodem więcej dla czego kobietom udzielać należy gruntownych nauk, aby ten cenny wrodzony nauczycielstwa przymiot mogły należycie zużytkować dla dobra młodego pokolenia.

Wskazaliśmy stanowisko i powołanie kobiety w rodzinie i państwie, zastanówmy się teraz jeszcze nad jej wychowaniem.

d. c. n.

*) Dr. Holzendorf j. w.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

VI.

O dyjetetycznem leczeniu chorób.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

(ciąg dalszy).

Ciało nasze złożone jest z pewnej liczby przyrządów, z których znów każdy składa się z różnych części (narzędzi), posiadających ściśle określoną działalność, skierowaną ku pożytkowi całego ustroju. Przyrządy rzeczone łączą się między sobą za pośrednictwem nerwów (podobnie, jak stacyje telegraficzne za pośrednictwem elektro-magnetycznego drutu), przez co mogą na siebie wywierać wpływ wzajemny. Naturalną więc jest rzeczą, że rozstrojenie w którymkolwiek z owych przyrządów, pociąga za sobą zmianę w działalności innych. Często, trudną bardzo jest rzeczą oznaczyć, która z wielu bolących części zachorowała naprzód i wywołała później cierpienie w całem ciele. Tak naprzykład przyczyną wielu cierpień płucnych, bywa często rozstrojenie serca, i na odwrót, cierpienia płuc mogą spowodować chorobę serca. Choroby wątroby i śledziony, w większej części wypadków, są z początku skutkiem innych rozstrojeń, a zły stan żołądka, pochodzi bardzo często z chorobowego stanu wątroby, płuc i serca. Hemoroidy, są tylko oznaką choroby, nie zaś oddzielną chorobą, i mogą zarówno zależeć od cierpienia jelit, naczyń brzusznych, wątroby i od choroby płuc lub serca, i t. d. Z tych kilku przykładów, czytelnik łatwo może pojąć, jak często lekarz działałby przewrotnie, gdyby nie zbadawszy dokładnie całego ciała chorego, natychmiast zaczął je leczyć przeciw rozstrojeniu oddzielnego przyrządu, albo zwrócił wyłączną uwagę na pewną górującą oznakę choroby, jak to czynią szalbierze i homeopaci. Że lekarze, udzielający chorym radę, bez widzenia ich i należytego zbadania, powinni być zawsze uważani za oszustów i wyzyskiwaczy, temu mogą przeczyć—tylko przesądni głupcy.

Dla utrzymania życia, potrzeba koniecznie, żeby przemiana materyi, czyli odżywianie naszego ciała odbywało się bez przerwy; z ustaniem owej przemiany, następuje śmierć. W stanie zdrowia, przemiana materyi odbywa się prawidłowo; wynikłe zaś w niej nieporządki i rostrojenia, powodują choroby, które noszą także nazwę wad organicznych, jeżeli przy tem przemiana materyi nie wraca już do dawnego, przyrodzonego porządku. Szczęściem, w większej części wypadków, rozstrojenie w przemianie materyi pociąga za sobą takie skutki, które równoważą owo rozstrojenie, i dla tego, wiele chorób przechodzi tak samo pomyślnie bez lekarza i lekarstw, jak i przy wszelkich sposobach leczenia. Osoba chora może lecznicą tę siłę przyrody znacznie podtrzymać, przez prawidłowe zachowanie się dyjetetyczne. Komu to jest wiadomem, tego bez wątpienia powinna oburzyć zarozumiałość owych szalbierzy i lekarzy, co nie wahają się twierdzić, że za pomocą jedynie swych aleopatycznych,

---

czać wizerunki jej przedstawicieli w urzędach policyi wykonawczej!

P. *Podwysocki* rozpoczął przekład *Jerozolimy wyzwolonej Tassa*. Znając nie małe w tym względzie zdolności utalentowanego tłómacza utworów *Wiktora Hugo*, mamy nadzieję, że obecna praca jego będzie prawdziwie nadobnem kwieciem, ubarwiającem poetyczną niwę piśmiennictwa naszego. Dawniejsze przekłady wzmiankowanego utworu nie odpowiadają już obecnym wymaganiom sztuki, i dla tego z niecierpliwością oczekujemy nowego.

Czy wiesz, czytelniku miły, czego potrzeba, aby stugębna fama dziennikarska rozniosła imię szczęśliwego śmiertelnika na wszystkie strony kraju?... Może cichej pracy i poświęcenia!... Dobre i to, ale nie zawsze popłaca. Zresztą sława to licha, bo na jej laurach o głodzie i chłodzie wyprawić się można na dolinę Józefata. Chcąc, aby cię nie zawiodły błogie nadzieje, i aby piękne z pożytecznem, to jest sławę z miłym groszem połączyć, kup sobie kilka niezłych szkap i zostań jakim prowincyjonalnym księciem sportsmanów. Następnie wysyłając najlepszego Rosynanta na konkursy do kilku wielkich miast, nie tylko na tem sporo grosza zarobisz, ale wszystkie dzienniki rozniosą twe imię po całym kraju. *Laudanda simplicitas!...*

O modo, jakże dziwne są niekiedy wybryki twoje! Czy wiecie też czytelnicy, czem należy teraz podług zachceń tej kapryśnej pani ozdabiać chustkę do nosa? Może jakimi ozdobnemi rysunkami?.. Broń Boże!.. Oto, trzeba wam wiedzieć, że każdy człowiek, który czuje w sobie święty zapał do uroczej Melpomeny, powinien nosić na chustkach oblicza najpierwszych znakomitości artystycznych.

Inaczej dowiedzie, że nie hołduje podniosłym wyżynom sztuki i nie umie uczcić należycie wielkich jej kapłanów.

Kuryjer Codzienny podniósł niedawno kwestyją, nader ważną dla miasta naszego. Autor zwrócił uwagę na smutny stan zaniedbania, w jakiem zostają brzegi Wisły, tej biednej suchotnicy, która przedstawia, zaiste, prawdziwy obraz nędzy i niedoli. Znacie zapewne, łaskawi czytelnicy, te wydmy i wądoły, które wznoszą się na brzegach, doznaliście zapewne już nieraz miłego wrażenia od woni, jaka ulata w tych miejscach. Dziwne tu zaiste napotykamy zespolenie prozy z poezyją. Tu widzisz poetyczny obraz wijącej się wstęgi syreniego grodu, gdy tymczasem na drodze mnóstwo zbyt wiele prozaicznych napotykasz widoków; z jednej strony zefir przynosi ci orzeźwiającą woń rzeki, z drugiej zatruwające wyziewy zgnilizny.

Otóż Kuryjer Codzienny słusznie zwraca uwagę na konieczność uregulowania brzegu Wisły i zogniskowania tu głównych tętn życia miejskiego. W zupełności zgadzamy się tu z szan. autorem. Rzecz to jednakże zależna całkowicie od usprawnienia Wisły. Tym bowiem sposobem, kiedy ruch dowozowy zwiększy się, kiedy będziemy mieli najtańszą komunikacyją z różnemi miejscowościami, skąd przywozić można różne materyjały handlu,

homeopatycznych, sympatycznych i t. p. środków, wyleczyli trudne choroby wewnętrzne!

Odżywianie, które zresztą, odbywa się prawidłowo tylko przy odpowiednim stopniu ciepła w naszem ciele, najwięcej zależy od krwi, którą z tej przyczyny, należy słusznie uznać za źródło życia. Od normalnej ilości i przymiotów krwi, oraz od prawidłowego jej krążenia w naszem ciele, powinno więc zależeć nasze zdrowie i życie. Lecz dla wytworzenia krwi, obok dostatecznej ilości wody, potrzebne są właściwe materyje pożywne, jak nie mniej, prawidłowe ich trawienie, a nadto, czyste powietrze (tlen), przy normalnej sprawie oddychania. Ponieważ krew, dochodząc do wszystkich części naszego ciała, nie tylko pozostawia w niem świeży, dobry materyjał do budowy nowych części jego składowych (materyjał ten stanowią materyje pożywne i tlen wdychany z powietrzem atmosferycznem), lecz nadto zabiera ze sobą stare, zużyte, nieprzydatne cząsteczki tegoż ciała wkrótce więc przesyciłaby się owemi staremi, bezużytecznemi cząsteczkami i stałaby się niezdatną do podtrzymania przemiany materyi, gdyby pomienione złe materyje nie były wydalane w pewnych miejscach ze krwi, i w ogóle z ciała, za pośrednictwem płuc, wątroby, nerek i skóry. I dla tego, rzeczone oczyszczenie krwi, stanowi główny warunek utrzymania jej w składzie prawidłowym. Dalej, ażeby krew mogła służyć w należyty sposób do podtrzymania przemiany materyi, krążenie jej powinno znajdować się w stanie prawidłowym, a więc należy się także starać, ażeby te mianowicie części naszego ciała, od których zależy owo krążenie, jako to: serce, naczynia krwionośne, płuca i mięśnie, były zdrowe. W celu wytworzenia w naszem ciele dostatecznego ciepła (właściwego ciepła 28°—30° R.), potrzeba starać się o odpowiednią ilość materyjału palnego; ażeby zaś ten dobrze się spalił, koniecznym jest odpowiedni dostęp tlenu. Nareszcie dla osiągnięcia prawidłowego odżywiania składowych części naszego ciała, prócz należytego przypływu krwi i ciepła, niezbędną jest jeszcze stosowna zmiana działalności i spokoju w narzędziach oraz tkankach ciała, gdyż przy stanie czynnym ma miejsce obumieranie cząsteczek tkanki, a podczas spokoju, odnowa takowych (nowotworzenie się).

Oprócz dopiero co opisanych w krótkości, tak zwanych spraw *roślinnych*, podtrzymujących przemianę materyi (życie) wewnątrz ciała naszego,—odbywają się jeszcze sprawy, za pośrednictwem których stajemy się właściwie ludźmi; warunkują one nasze uczucia, świadomość, rozum i ruchy samowolne. Sprawy te zowią się *życiowemi* (zwierzęcemi), a służące im narzędzia są: układ nerwowy, narzędzia zmysłów, narzędzie głosu i układ mięśniowy. Lecz ponad temi wszystkiemi przyrządami, góruje mózg, jako główne narzędzie wszelkiej działalności życiowej. Rozumie się samo przez się, że wzmiankowane dopiero co narzędzia, natychmiast zostają nawiedzione chorobą i rozstrajają się pod względem swej czynności, jak tylko odżywianie składowych ich części ulegnie naruszeniu. Dla tego człowiek, pragnący utrzymać w porządku życiowe sprawy swego ciała i ustrzedz je od stanu chorobowego, powinien przedewszystkiem starać się o prawidłowe podtrzymanie w niem spraw roślinnych. Tak np. myślenie—władza życiowa, właściwa mózgowi, wtedy tylko może odbywać się prawidłowo, gdy materyja mózgu jest odżywianą w należyty sposób. Dla prawidłowego zaś odżywiania materyi mózgowej, niezbędnem jest dostarczenie jej, za pośrednictwem krwi, tych wszystkich tworów, z których składa się masa mózgu, a więc i tłuszczu, zawierającego fosfor, w braku tłuszczu lub fosforu, mózg nie byłby prawidłowo odżywiany, nie mógłby należycie wykonywać swych czynności, a zatem nie byłby zdolny do prawidłowego myślenia. Mając to na uwadze, mniemam, że ci, co szydzą ze zdania Moleschott'a, że *„bez fosforu nie masz myśli"* sami zapewne nie posiadają w swym mózgu dostatecznej ilości fosforu, który, jest zastąpiony u nich chyba... słomą.

Zanim objaśnimy bliżej, na czem polega stan zdrowia i choroby oddzielnych przyrządów i narzędzi naszego ciała, wypada nam tu zaznaczyć pierwsze i główne prawidło zasadnicze przyrodzonego postępowania z chorem ciałem, mianowicie: *„Ustrój ludzki w stanie choroby, a szczególniej chore narzędzie, wymaga przedewszystkiem spokoju pod każdym względem."*

Nic nie może być bardziej niedorzecznem i szkodliwem, jak podczas choroby nadmiernie utrudzać swe ciało.

Wiele jednak osób, postępuje sobie wprost przeciwnie, starając się, jakby umyślnie, uczynić podczas niezdrowia coś takiego, coby ich jeszcze więcej osłabiło; tu należą np. używanie na chybił trafił i bez żadnego namysłu—łaźni parowych lub zimnego natrysku, stawianie wezykatoryi, puszczanie krwi, wywoływanie potów, wymiotów, przyjmowanie lekarstw przeczyszczających lub jakichkolwiek innych tajemniczych środków i t. d. A przecież, nie trudno to pojąć, że chore narzędzie potrzebuje nadewszystko spokoju, że na chorej nodze nie można tańczyć i skakać, przy chrypce krzyczeć i śpiewać, że chorego żołądka nie należy obciążać trudno-strawnemi pokarmami, lub słabe płuca drażnić zimnem i pełnem kurzu powietrzem, i t. d. Większość jednak chorych nie chce tego zrozumieć, a nawet zdarzają się jeszcze dotychczas tacy, co jeśli wezwą lekarza, to uprzedzają go z góry, że nie mogą i nie chcą poddać się prawidłowej kuracyi, lecz wymagają, aby ich wyleczono bardzo prędko, nawet na oznaczony termin! Niestety, niektórzy lekarze, powodując się godną ubolewania chciwością, potakują tej bezwstydnej głupocie i dla własnej korzyści, utrzymują w niej pacyjentów; są zaś pomiędzy lekarzami i tyle niesumienni, co podejmują się leczyć, wprost za pośrednictwem korespondencyi. A tymczasem, jakże krzyczą i narzekają później owi lekkomyślni pacyjenci, kiedy choroba, błaha z początku, powoli staje się niebezpieczną i nareszcie owłada niemi zupełnie, jak przyrzekają oni wtedy lekarzowi, że we wszystkiem rad jego będą słuchać, lecz już zapóźno! Najbardziej jednak powinien powstawać sumienny

---

wtedy to prawdziwe życie zaigra na poczciwej Wiśle naszej, i wtedy tylko będzie możebnem zogniskowanie ruchu handlowego, a w części i przemysłowego na brzegach tej rzeki. Nie zgadzamy się ze zdaniem autora, jakoby tam powinny wznosić się wille dla bogatszych. W miejscowości, która stanowić ma główne ognisko życia miejskiego, główne centrum ruchu handlowego, nie podobna, aby istniały ciche ustronia szczęśliwych wybrańców natury, chyba gdzieś w dalszych okolicach ku końcowi miasta.

Otóż podnosząc głos w tej tak ważnej dla miasta naszego sprawie, sądzimy, że zrozumie ono wkrótce swój własny pożytek i postara się o właściwe zużytkowanie miejscowości, która powinna być naturalnem ogniskiem handlu, skupiającem tę przeważnie ludność, która stanowi, że się tak wyrażę, główną podstawę ekonomicznego rozwoju miasta.

Nim jednakże myśl ta będzie uskuteczniona, na co długich lat potrzeba, nader ważną byłaby tu działalność pojedyńczych jednostek, a mianowicie obywateli, do których należą place nadwiślańskie. Znamy jednego z nich, który poświęcił spore kapitały na oczyszczenie swej miejscowości z zatruwających powietrze zbiorowisk kału i zgnilizny. Gdyby i inni trzymali się tej świętej zasady: „Czyń każdy w swojem kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży," do niemałych doszlibyśmy rezultatów.

Komitet *Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych* w Warszawie wziął się energicznie do pewnych niezbędnych w działalności tej instytucyi ulepszeń. Przedewszystkiem postanowiono naprawić, o ile możności, stan finansowy, nadwątlony przez opieszałość członków w składaniu sum zaległych. W tym celu postanowiono sprzedawać przygotowane dla nich reprodukcyje, jako też nie odebrane przez członków w ciągu lat 5-ciu, wszakże z pozostawieniem każdej reprodukcyi po 50 egzemplarzy do dalszej dyspozycyi. Prócz tego postanowiono zakupić za sumę rs. 8034 listów zastawnych ziemskich 5% i złożyć je w Banku Polskim na kredycie otwartym. Prócz tego w celu powiększenia zbiorów postanowiono zawiązać liczniejsze stosunki z zagranicznemi Towarzystwami francuzkiemi, włoskiemi, niemieckiemi i posyłać im dowody składkowe. Tym więc sposobem instytucyja spodziewa się uzyskać obfitsze zasoby finansowe, tak dla podtrzymania egzystencyi, jak i dla większego rozwoju działalności swojej.

Dziennikarstwo nasze niespodziewane czasami robi odkrycia. Nie będziemy tu wyliczali całego ich szeregu; ale wspomnimy o najnowszem, najświeższem, dokonanem przez najdawniejsze nasze pismo naukowe, od lat 35 istniejące i cieszące się rzadką wśród swoich i obcych powagą. Mówimy o *Biblijotece Warszawskiej*. W ostatnim jej zeszycie sierpniowym znajduje się artykuł o Filipie Kalimachu, tłomaczony z jednej historycznej pracy uczonego *niemieckiego* Zeissberga. Otóż w tym to artykule widzimy ślad wielkiego odkrycia. Z ustępu bowiem na str. 273 dowiadujemy się, że we Włoszech we władzy papieża zostawało miasto czy twierdza zwana *En-*

lekarz przeciwko chorym na płuca i żołądek, gdyż zazwyczaj, postępują oni według jego przepisów dopiero wówczas, kiedy śmierć, jak to mówią, siedzi im na nosie. Wskutek śmiesznej próżności, osoby dotknięte chorobami płuc zgadzają się nosić respirator (oddychadło), dopiero wtedy, kiedy stoją już jedną nogą w grobie. Chorzy zaś na żołądek, poskramiają swe obżarstwo jedynie wówczas, kiedy już ich żołądek z przyczyny stwardnienia ścian i raka, nie może znieść ani pokarmu, ani napoju.

d. c. n.

Osobistość i egoizm dziecka.

Zasadniczą siłą każdej ożywionej istoty jest samozachowawczy instynkt— miłość własna. Nie ma tu wyłączeń. Każdy żyjący osobnik ma najprzód cel w sobie i do siebie odnosi wszystko; jest środkiem pewnego koła, w którem panuje, usiłując zużytkować dla siebie swe otoczenie, oddziaływując znów na nie ze swej strony.

Nie należy na ten pierwiastek w świecie życia, patrzeć z urazą obrażonej strony moralnej; ta żadnej ujmy nie ponosi stąd, iż wyrasta z grubej materyjalnej siły by nad nią panować. Czyliż świat ten mniej wielkim jest i pięknym, gdy pojmujemy jego fizyczną budowę? Człowiek jestże mniej wzniosłą istotą przez to, że „z prochu powstawszy“ ku wyżynie dąży.

Miłość własna jest podstawą na której wznosi się moralna budowa człowieka, jest ona tym materyjałem grubym, ciemnym i ślepym, siłą brutalną—która urabia się w nim następnie, kształtuje i uszlachetnia, aż do najwznioślejszych uczuć. Jest ona w człowieku zasobem, którego dzielność potrzebuje tylko właściwie być skierowaną, aby nie potworzeń uczynić lecz istotę „na obraz Boży „miłującą bliźniego *jak siebie samego*“ stworzoną.

Nie tu miejsce polemizować w kwestyi spornej dla umysłów jednostronnie patrzących na rzeczy; jeżeliśmy wyszli z punktu leżącego po za obrębem naszego przedmiotu, to tylko dla tego, że i wyniki jego sięgają daleko po granicę kwestyi wychowawczej, rozlewając się szeroko na pole życia i moralności.

Niemowlę przedstawia wzór nieświadomej, bezsilnej ale wyłącznej miłości własnej, w nim nic nie ma nad nią. Zaspakajanie potrzeb swego organizmu, odczuwanie przyjemnych lub przykrych wrażeń i bezwzględny przeciw nim protest, lub pożądanie ich — stanowią w najprostszej formie całą działalność jego duszy. Dalej, odbierane wrażenia, w miarę wykształcających się organów dziecka dają pewną samodzielność jego istocie. Rozprzestrzenia się zakres jego potrzeb i działalności; do fizycznych, zwolna przybywają inne, pokrewne z umysłowością i umysłowe wreszcie. Dziecię oprócz pokarmu, potrzebuje już wrażeń, ruchu, działania. Spoczywa tylko we śnie, zresztą już spoczywać nie może i nie powinno jeśli znajduje się w normalnym stanie. Dziecię to już indywiduum czynne, to mały egoista, nieustannie potrzebujący zajęcia się czemkolwiek, nieustannie zaspakający prawa swych oczu uszu, rąk całego ciała, potrzebujący ustawicznie zmieniać miejsce, poruszać się i działać. Egoista ten całą siłą sprzeciwia się wymaganiom nieruchomości i spokoju, domaga się swych praw w imię osobistości własnej, nad którą wyższych nie uznaje.

Przypatrzmy się trzyletniemu malcowi, zdrowemu i niezepsutemu. Ta mała osoba ma ciągle tysiączne zajęcia i interesa, pracuje nieustannie ciałem i umysłem jednocześnie, nieupatrzysz w niej chwili spokoju lub bezmyślności. Tworzy sobie świat i działa w nim ciągle. Ten sam popęd który malcowi kazał dopiero prosić o kawałek chleba, zmusza go już do biegania wzdłuż i wszerz pokoju i wołania „wio.“ On podróżuje w swej wyobraźni, on ma przed sobą koniki, a nóżki jego zadowolone są z dzielnego galopa, uszy ze sprawionego łoskotu, i zupełnie zapominają o tem że starsi mogą tego nielubić. Mały egoista zmienił już swą jazdę na spokojniejszą sprawę. Ma on mnóstwo swego pomysłu zajęć niezmiernie ważnych. Oto dobywa parę desek, kawałek sznurka, pudełeczko i jeszcze parę nieużytecznych drobiazgów, siada na ziemi, zaczyna majstrować, z głębokiem przejęciem się coś tworzy, rozmawia sam z sobą, gniewa się gdy mu przeszkadzają. Zobaczył że ktoś ze starszych zajmuje się jakąś nieznaną mu robotą, przypatruje się, zaciekawia, męczy pytaniami, ofiaruje się wreszcie z pomocą, lub naśladować zaraz zaczyna.

Cały dzień schodzi malcowi zapełniony co do minuty. Biada gdy staje przed starszymi z narzekaniem że nie ma co robić — a jeszcze gorzej gdy siada w kącie osowiały i bezmyślny. Znaczy to że, albo stłumiono już w nim samodzielną osobistość, albo że ją skrępowano w próżni nadmiarem wymagań i zmuszono dziecię zrzec się swych potrzeb na korzyść otoczenia.

Klęska to wielka w wychowaniu, kiedy zamiast korzystać z żywotnej siły dziecka, z tej żywej krynicy zdolnej swym potokiem poruszać całe dzieło samodzielnego jego udoskonalania się, stłumioną ją, wysuszywszy ją, sprowadziwszy na tor fałszywy, czynimy z wychowańca-manekina potrzebującego ciągłych popchnięć i sztucznych nakręcań lub istotę stępioną, pełną wewnętrznego zamętu i zboczeń.

Dziecię niezdolne zająć się samodzielnie, potrzebujące ze strony wychowawców sztucznego podsycania potrzeb jego istotnych, okazuje jawnie (jeżeli nie jest wadliwej organizacyi) że mu odjęto instynkt naturalny, a w miejsce środków natury podstawiono obce niedołężne widoki. Ścieśniono w zarodzie już dążność dziecka do samoistności, tę treść żyjącej istoty.

Dzieje się to bardzo prostym sposobem, a na nieszczęście dzieje się powszechnie.

---

gelsburg!!, gdzie więziono oskarżonych. Nic dotąd o tem mieście czy twierdzy nie wiedzieliśmy. Wprawdzie Engelsburg u p. Zeissberga oznacza znany wszystkim *Zamek ś. Anioła* w Rzymie; — ale któżby tam temu wierzył, kiedy tu wyraźnie mówi tłomacz tego artykułu o Engelsburgu... Przypomina nam to, że w jednym naukowym programie spotyka się osobna prowincyja italska zwana *Poebną*, gdyż autor czy tłomacz programu chciał oprócz *doliny Padu* (po niemiecku Po-Ebene) wzbogacić Włochy osobnym krajem, kiedy to tak łatwo i tak tanio przychodzi. Doprawdy Redakcyja Biblijoteki powinna wystosować osobny list pochwalny tłomaczowi rozprawy o Kalimachu (niejakiemu panu K. P.), gdyż nie wątpimy że królestwo Włoskie ze swej strony wynurzy Redakcyi wdzięczność za odkrycie Engelsburga na jego terytoryjum. Gdyby odkrycie to znalazło się w innem jakiem piśmie, nie zwróciłoby to uwagi niczyjej; ale Biblijoteka jest przecież pismem naukowem, znanem całemu światu.

Pisaliśmy już parę razy o *Zakładzie szewckim dla kobiet*, założonym po raz pierwszy w Warszawie i utrzymywanym przez panią Eugenię z de Wierneków *Pieniążek*. Zakład ten, który przysporzył krajowi kilka wykwalifikowanych nauczycielek zakładów rękodzielniczych, oraz kilka przełożonych pracowni szewckich, zasługuje na szczere i serdeczne poparcie ogółu. Jako pracownia i uczelnia zarazem, utrzymywana przez lat już kilka zdobyła sobie ustaloną renomę i pobudziła konkurencyją. Wytrwałość i praca, cnoty tak rzadkie u nas a okazane przez panią Pieniążek wzbudzają nasz podziw i są zwiastunkami lepszej cokolwiek chwili dla pracy kobiecej. Ostatniemi czasy całkowity kurs nauk ukończyły w tej pracowni, panie: Wanda Aspis, Leopoldyna Nassius, Aniela Hiżycka i Maryja Włodarska.

W widokach rozszerzenia zakładu pani Pieniążek przeniosła się z ulicy Chmielnej na *Nowy-Świat* pod N. 36 przy Foksalu; jak dawniej tak i teraz przyjmuje uczennice do nauki, jak niemniej wszelkie roboty do uskutecznienia. Cześć wytrwałej i szlachetnej pracy!

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Napoleo.. Klim... w Dydeliszkach. Upraszamy o przyrzeczone „Szpargały.“

P. A. H. Kir. w Krakowie. Odnieśliśmy się do Księgarni PP. Leitgebra i S-ki w Poznaniu.—Brakujące numery posyłamy.

P-ni. Leokadyi P. w Opocznie. Pisma i książki posyłamy.

P-ni. Bronisławie Gliń... w Skwirze i Teofili Pis. w Jeziornej. Wypisy polskie posyłamy.

Wymagania i potrzeby starszych, więc rodziców, wychowawców i wszystkich stanowiących otoczenie dziecka są zupełnie różne od jego interesów, potrzeb i wymagań. Czyli inaczej mówiąc występują tu niejako do walki dwie sprzeczne siły, dwie miłości własne.

Dziecię potrzebuje swobody poruszeń, potrzebuje niejako swego udzielnego państwa dla swych prób, doświadczeń, ciekawości i ćwiczeń—na to wymagania domowe niepozwalają. Wymagania światowe, konwenanse, pojęcia o dobrych manierach, źle zrozumiane potrzeby dziecinne, upodobania i tysiączne uboczne względy stają się prawami, które przemocą wkłada się na osobistość dziecka, a pod któremi ono — rozumie się musi ulegać.

Umyślnie, czy mimochodem wtłaczamy w zaczynający się rozwijać umysł i wprowadzamy w nawyknienie, mnóstwo pojęć i czynności nie mających żadnej łączności z naturalnym rozwojem jego. Zewsząd sztucznemi powijaki krępujemy ten rozwój i — przygnębiamy go wreszcie. Dziecko niemające już instynktu własnej woli potrzebuje sztucznego pielęgnowania, staje się biernym, mniej lub więcej opornym martwym materyjałem w ręku wychowawców.

Instynkt samodzielności, osobistość nie przepadła jednak tak łatwo. Zostaje w dziecku w postaci uporu, wyłamywania się z pod przemocy. Szuka ujścia w nienormalnych drogach krnąbrności, fałszu niechęci — i innych ujemnych czynnikach objawiających się w dziwnej mieszaninie wad składających przymioty źle wychowanych dzieci.

Gdzie granica osobistości dziecka, a dobroczynnego wychowawczego wpływu? Dziecię ma swe potrzeby i dąży naturalnie do ich zaspokojenia jest osobistością którą należy uszanować, ale do pewnego stopnia tylko. Potrzeba rozwoju leżąca w naturze dziecka, chęć działania, tworzenia, zdobywania, jest dążnością naturalną, której potrzeba dostarczyć stosownego materyjału do spożytkowania, a instynkt miłości własnej wesprzeć kierunkiem i ująć w stałe łożysko i otoczyć zaporą od strony przepaści i bezdroża.

Wcześnie już należy baczyć na ustalenie odpowiednich naturalnemu rozwijaniu się dziecka pomocy, ale takich, któreby w bieg normalny jego rozwoju wchodziły. Nie walczyć tu lecz od początku wspierać, kierować i karmić potrzeba rozwijanie się dziecinnego charakteru. Walka i przeciwstawanie, dopiero po uprzednich błędach popełnionych w wychowaniu miejsce mieć może.

Dziecię rozwijać się powinno wśród odpowiedniego rozumnego ładu przyjętego drogą przywyknień, których cel i użyteczność jasno pojmować musi. Zawsze licząc na swe siły i będąc sobą w najmniejszym kroku—ceni i szanuje rozumną wolę rodziców, bo pojmuje jej słuszność, bo czuje jej wartość sprawdzaną własnem doświadczeniem. Dziecię w którem szanowano osobistość, posłusznem będzie nie przez strach niewolniczy, ani bezmyślny nałóg lecz przez ugruntowaną na przekonaniu mądrość tych którzy jego wolę ograniczają rozumnie. Wstrzemięźliwem i panującem wcześnie nad sobą uczynić je łatwo — przez przyzwyczajenie w ustalone na rozsądnym a silnym choć spokojnym kierunku. Łatwo przychodzi ten tak rzadki przymiot w niezowijanych na gruncie naturalnym umysłach, jeśli dziecię nie doznaje bezładu i sprzeczności w zakazach, bezrozumnych kapryśnych wzbronień — to znów zezwalania, jeśli zewnętrzne wpływy nie *bałamucą* instynktów i pojęć dziecka. Równowaga władz i potrzeb jego zachowanych w normalnym stosunku do siebie niewywoła tu zboczeń, które każą domyślać się wynaturzonego kierunku. Rozumny, bo zgodny z naturą i jej celami kierunek daje samodzielną siłę dziecku, „rozkaz i siłę z rozkazem", rozkaz nienarzucony, a siłę samorodną.

Przeciwny widok przedstawiają dzieci w których osobistość nie została powołaną do życia. Gdzie sztuczny, albo bezmyślny kierunek stłumił normalną siłę rozwoju, tam znajdujemy albo niewolniczość bezwładną, bierną, lub cały komplet wad wynaturzenia: kłamstwo, łakomstwo, brak poczucia godności własnej, upór i stosownie do usposobienia dziecka wszystkie wady będące prostą reakcyją narzuconych fałszywych wpływów. Dzieci tam niemają i mieć niemogą siły własnej, wewnętrznej i wyrastać muszą na istoty bez charakteru.

Pierwotne wychowanie dziecka winno tylko wspierać jego *życie dla siebie*. Dziecię tu jest celem który żadnych ubocznych względów nie znosi. Jego dobro jakim bądź kolwiek kosztem okupować się musi, ono żyć potrzebuje dla siebie najprzód, by następnie żyć dla innych. Zgubnem jest mniemanie powszechne, iż dziecię jest tylko naszą rzeczą, jakimś podrzędnym dodatkiem, który w obrębie naszych interesów życia obracać się musi i jakby z łaski tylko otrzymuje pewne łatwe dla nas ustępstwa na swą korzyść.

To istota odrębna to człowiek, mający za sobą całą potęgę praw naturalnych, najświętszych, koniecznych, praw jakie ma wzrastająca roślina do soków ziemi, pierwiastków powietrza i słonecznych promieni, jakie posiada człowiek do uszanowania swej osoby, do swobodnego działania. Dziecię to wolny obywatel świata, który prawo szanować będzie tylko wraz z poszanowaniem praw własnych; nie narzucać mu *nie możemy*, lecz *powinniśmy* wszystko z niego dobywać, tak jak z drobnego ziarnka dobywa się drzewo wspaniałe.

Dziecię tedy, jak powiedzieliśmy, jest strasznym egoistą niepojmującym co to jest ofiara i poświęcenie. Istota straszliwa. Nie rozumie ona, że istnieje świat mający swe odrębne cele. Wszystko co otacza małego despotę wydaje mu się być jego niezaprzeczonem królestwem, wszystko w pojęciach tego egoisty jemu tylko służy, on jest środkiem całego świata obracającego się jak około osi, około jego kolebki. To dziki, najpewniejszy że księżyc ulęknie się jego krzyku, że aby się z nim bawić wygląda i chowa się za chmurki, to mały Herkules, który z zupełnym spokojem zdusiłby węże, gdyby znalazły się w silniejszej nieco rączce od tej, która szarpie i usiłuje zniszczyć zawadzającą koszulkę.

Gdzież droga po której ten Cezar w zawiązku iść będzie ku ludzkiej doskonałości, by nie niszczył i panował—lecz tworzył, i służył najwyższemu dobru?

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Przebranie jakie przywdziałem było dokładne i zdradzić nie mogło, ta tylko była największa bieda, że znalazłszy się pomiędzy towarzyszami wojownika któregośmy wzięli do niewoli, będę zaczepionym i wypytywanym...

Umiałem wprawdzie kilka słów z dyjalektu Komanszów, ale nie było tego dosyć żeby podtrzymać rozmowę, zresztą akcent albo głos musiałyby mnie zdradzić. Mogłem co prawda odpowiadać po hiszpańsku. Wielu Komanszów mówi tym językiem, ale mówić do nich nie we własnem ich narzeczu wyda im się także podejrzanem.

I jeszcze inna obawa. Nie mogłem oto zaufać zupełnie koniowi indyjskiemu. Starał się on zrucić Stanfielda, przez całą drogę wierzgał nogami i chciał gryść swojego jeźdźca jakby mu palił grzbiet.

Jeżeli się tak będzie zachowywał ze mną w chwili tryumfalnego wjazdu, to nie omieszka zwrócić uwagi szyldwachów, obudzą się podejrzenia, zaczną nam się baczniej przypatrywać.

Na domiar wszystkiego, gdy nawet udało by się dostać na miejsce, odszukać niewolnicę i wyrwać ją z rąk katów byłoby głupstwem rachować na grymaśną szkapę w umknięciu przed pogonią. Znalazłyby się tam inne szybko biegi lepsze może od niego i skończylibyśmy na tem żeby nas sprowadzono z powrotem i ukarano śmiercią.

Oh! gdybym mógł mieć mojego własnego wierzchowca blisko tych tam szyldwachów.

O gdybym go mógł tam ukryć!

Ale ani zabrać ani schować własnego mojego konia nie mogłem, musiałem więc wyrzec się tej myśli.

Byłem zdecydowany zryzykować się i odegrać do samego końca rolę jaką na siebie przyjąłem, postanowiłem więc odbyć wjazd na indyjczyku i o tem postanowieniu zawiadomiłem przyjaciół moich.

Wszyscy znaleźli to bardzo niebezpiecznem a jeden czy dwóch gwałtem starali się mnie odwieść od tego zamiaru. Byli to ci co nie znali moich powodów, co nie wiedzieli jaką odwagą może natchnąć szlachetna miłość. Ci ludzie nie kochali nigdy tak jak ja, to też ich rady w moich oczach nie miały znaczenia.

Inni rozumieli niebezpieczeństwo, ale nie widzieli innego sposobu. Jeden znowu czy

nawet dwóch pochwalili postanowienie jakie uczyniłem to też posłuchałem ich zupełnie.

Jeden znowu aż do tej chwili zachował milczenie a zdanie jego było dla mnie najważniejsze. Tym jednym był Rube stary strzelec.

ROZDZIAŁ LXXX.

Rube radzi się swojej wyroczni.

Rube stał zdaleka od całej gromady albo raczej pochylony, bo jego korpus nie był prostym ale w linii ukośnej z ziemią. W tej postawie oparł się na swoim karabinie którego kolba opartą była o pień drzewa, kiedy brzeg lufy zdawał się spoczywać na nosie jego pana.

Ponieważ człowiek i fuzyja byli prawie jednej długości, obadwa więc przedmioty razem złączone podobne były do figury Λ przewróconego. Obie ręce starego strzelca ściskały lufę broni tuż przy końcu.

Na pierwszy rzut oka trudno było powiedzieć czy patrzy wewnątrz lufy, czy dalej w stronę indyjskiego obozu.

Ta postawa nie była dla nas nowością. Nie pierwszy to raz widzieliśmy go przybierającym tę ulubioną pozę, a mianowicie w chwili kiedy trudna do rozwiązania kwestyja wymagała energicznej działalności.

Wiedzieliśmy o tem, że była to chwila, w której radził się bóztwa rodzinnego, o którem utrzymywał, że przemieszkuje w głębi ciemnej lufy de *Targuts*.

Umilkliśmy wszyscy i zaczęliśmy mu się przyglądać. Wiedzieliśmy, że nie podobna przedsiewziąć żadnego kroku bez poradzenia się Ruba i czekaliśmy z mniejszą lub większą niecierpliwością, aż wypowie rezultat swoich rozmyślań.

Upłynęło już dobre dziesięć minut, a stary strzelec nie poruszył się wcale, ani odezwał. Nawet usta i muskuły twarzy pozostały nieruchome, i oczy tylko jedne jak duże małe kulki błyszczące głęboko, były jednym znakiem życia. Wziąść by go wtedy można, nie za posąg, ale za stracha, osadzonego na kiju, czemu nie przeszkadzał bynajmniej długi karabin, zczerniały od zmian powietrza, ale owszem, uzupełniał porównanie.

Dziesięć dobrych minut upłynęło, a stary Rube nieodezwał się ani słowa. Snać wyrocznia nie dała mu jeszcze odpowiedzi.

Na pierwszy rzut oka trudno było poznać czy ten człowiek patrzy w swoją fuzyję, czy gdzieś daleko w przestrzeń. Dopiero po bliższem przypatrzeniu się poznałem, że wzrok jego błądził tu i owdzie.

To podnosił trochę oczy, żeby popatrzyć na łąkę, to znów spoglądał w głąb lufy de *Targuts*. Z jednej strony zdaje się, jakby szukał w około nadarzających się zagadek, z drugiej strony jakby zapytywał domowe bóztwo o ich rozwiązanie.

Dobry Rube przeciągał długo te nadnaturalne wnioski, rzucając spojrzenia w lufę swojej wyroczni i na cały obszar ziemi, otaczający obóz komanszów.

Zwolna zaczynaliśmy się niecierpliwić. Ciekawość dowiedzenia się rezultatu tych dziwnych konferencyj trapiła nas okropnie. Nic dziwnego, że na ostatniej granicy, jaka nas oddzielała od śmierci, byliśmy pełni obawy, w jaki sposób się to zakończy.

Dotąd jednakże nikt nie śmiał przeszkodzić oryginalnemu starcowi tych dziwnych rozmyślań.

Nakoniec Garey zbliżył się do niego, ale nie prędzej, aż Rube poruszając z tryumfem głowę i gwiżdżąc swemi zaledwie dojrzanemi wązkiemi i zaciśniętemi ustami dał poznać że konsultacyja już skończona i że dyjabełek mieszkający w głębi lufy jego karabinu, zdecydował się wreszcie dać mu żądaną odpowiedź! Z radością dostrzegliśmy te znane nam już dobre oznaki.

Z niezmierną ciekawością przypatrywałem się temu człowiekowi. Lubiłem to znaczące poruszanie głową, lubiłem ów rodzaj cichego ale pełnego myśli gwizdnięcia, stanowiący hasło, że posiedzenie pomiędzy Rubem i jego o piekuńczym duchem rodzinnym już się ukończyło. Te oznaki miały mówić że węzeł został rozplątany, i że stary strzelec natrafił na jakiś możebny sposób wejścia do obozu indyjskiego.

Zbliżyłem się do niego z Garejem, ale nie w tym celu, żeby go zapytywać. Zanadto dobrze znaliśmy jego dziwactwo i wiedzieliśmy, że trzeba nieodzywać się, dopóki sam nie wykona swojego projektu. W milczeniu więc stanęliśmy obok niego.

— A co Bill — odezwał się wreszcie, odetchnąwszy głęboko — i ty, mój mały, co myśli cie obadwaj o tej sprawie! jakoś licho nam się przedstawia, nieprawdaż? He!

— Bardzo licho! odpowiedział lakonicznie Garej.

— Takie samo było i moje zdanie.

— Ah! — odpowiedział młody strzelec z miną zniechęconą—ani knot by się tam nie wsunął.

— Cicho bądź!... ani knot... któryż to blanbek wpakował ci tę myśl do głowy, mój biedny Billu?

— Alboż jest jaki sposób, co by się przydał na wiele.

Tak długo już napróżno naradzaliśmy się!

— No powiedz mi też cóżeście mówili!— odrzekł Rube, śmiejąc się w sposób tryumfującey mów! niech no zobaczę, mój kochany Billu, spiesz no się tylko, bo czas dyjabelnie drogi, każda minuta wiele znaczy. Cóż to takiego?

— Oto całą rzecz w kilku streszczę słowach: Kapitan ma ochotę wziąść konia indyjskiego i jechać prosto do obozu.

— Tak prościuteńko?

— Naturalnie, na nic by mu się przydało przedzierać się przez orszaki; spostrzeżono by go z boku.

— Niech mnie dyjabli porwą, jeżeli czerwono-skóry widzi cokolwiek, widział co więcej, oprócz ognia! On by mnie nie zobaczył, chociażby każdy z tych łotrów miał Argusowe oczy. Nie, bądź spokojny przyjacielu nie zobaczą mnie z pewnością.

— Jakto? spytałem. Sądzisz więc, że byłoby możebne komukolwiek zbliżyć się do obozu niepostrzeżonym?

— Jestem tego aż nadto pewien! to jeszcze nie wszystko. Mam oto znakomity sposób. Obecny tutaj Ruben Rawlings łatwo z gór skalistych wśliznie się aż do samego środka obozu, jak ślimak pod liściem kapusty, nie wpadłszy w oko ani jednemu z dzikich, gdyby nawet te czerwone gadziny miały więcej oczów na łbach, niż psiego węchu w nosie. Ach! ty myślisz, że nie ma sposobu dostać się tam niepostrzeżonym. Coś pachniesz mi rekrutem kochany Bellu Garey.

— Ale zobaczmy, mój Rubie, jak dokonać tego cudu! Objaśnij lepiej czemprędzej swój projekt. Wiesz dobrze, że jestem niecierpliwy!...

— O tylko cierpliwie, mój mały przyjacielu! Gorączka na nic się nie przyda. Potrzeba ci będzie sporej dozy cierpliwości, zanim będziesz mógł ugrzać łydki przy ogniu dzikich; ale dostaniesz się do niego z pewnością i to w krótkim czasie, jeżeli spełnisz dokładnie to co ci powie stary Rube, i będziesz miał oczy ciągle otwarte; a usta zamknięte. Nie wątpię, że się zastosujesz do mojej rady. Wiem też, że jesteś sprytny po same paznogcie, i że najprzebieglejszy lis nie wyrównał by ci w przebiegłości. No cóż jesteś gotów wypełnić moje zlecenie?

— Obiecuję wypełnić wiernie wszystko, co mi każesz?

— Ot to się nazywa mówić z sensem! To bardzo rozsądnie z twojej strony. A teraz powiem wam moją radę!

Rzekłszy to, Rube zbliżył się do brzegu lasu, dając mnie i Gareyowi znak, żeby iść za nim.

Na klęczkach, pod zasłoną krzaków, zaczołgał się do samego końca zarośli.

My dwaj poszliśmy za jego przykładem i uklęknąwszy przy nim: ja z prawej a Garey z lewej strony, skierowaliśmy nasze spojrzenia na obóz indyjski który wraz z całą okolicą widzieliśmy jak na dłoni, o ile pozwalało na to blade światełko księżyca.

Kiedyśmy się przypatrzyli jakiś czas w milczeniu temu widokowi, stary strzelec przerwał wreszcie milczenie.

ROZDZIAŁ LXXXI.

Rada starego strzelca.

— Teraz przyjacielu Billu i ty mój młody rzekł Rube—spojrzyjcie na ten tam obóz i zobaczcie, czy niema drogi, prowadzącej do samego środka, prostej, jak ogon zmarzniętego szczura? Czy widać, hę?...

— Zawsze jednak nie zakrytej?— zapytał Garey.

— Ale zakrytej! i każdy krok ma najlepsze w świecie schronienie.

Wzieliśmy do uważnego badania całej rozległości obozowiska i gruntu sąsiedniego, ale nie mogliśmy odkryć najmniejszej skryjówki, z którejby można dostać się do obozu.

Podniosłem oczy w górę przebiegłem całą przestrzeń sklepień niebieskich okiem badawczem.

Aż do zenitu w każdym punkcie horyzontu szukałem obłoków ale napróżno. Wprawdzie lekka mgła unosiła się w atmosferze, ale rzucała niepewny tylko cień, przechodząc nawet przez tarczę księżyca. Była to przeciwnie oznaka prześlicznej pogody, a te małe chmurki, poruszające się tak zwolna, jak gdyby stały w miejscu świadczyły że nie można się było spodziewać jakiej nagłej zmiany. To też mówiąc o dostaniu się skrycie do obozu, nasz stary sphinx, nie mógł rozumieć pod tem mroku ciemności. Cóż więc miał na myśli?

— Doprawdy nie widzę żadnego przykrycia odezwał się po chwili Garej—ani krzaku ani kępki trawy.

— Krzaków —odpowiedział Rube— trawy! Któż tu mówi o krzakach i o trawie. Są inne sposoby ukrycia twojej mózgownicy. Wiesz ty Billu Garej, że ja zaczynam myśleć że na wzór naszego, młodego towarzysza musisz być oszołomiony jaką głupią miłością.

— Nie, bądź spokojny Rubie!

— Niech mię dyjabeł porwie, jeżeli cię o to słusznie nie podejrzywam mój mały. Dowiedziałem się, coś powiedział jednej z tych panien...

— Cóż takiego?

— Ty wiesz dobrze! Czy nie umizgałeś się do jednej z tych pieszczoszek tam w wiosce mówiąc że ją kochasz że ugodziła twe serce jak muł kopytem? Nie sąż to twoje własne słowa, Billu Garej?...

— To były tylko żarty!

— Tak, tak! to ładne żarty! kiedy powrócę do fortu Beut i opowiem to twojej Synaw, dopiero to będzie miła operacyja z twojem grzesznem cielskiem!

— Sam nie wiesz, co mówisz Rubie, to wszystko nieprawda!

— Musi być prawda, skoro masz głowę tak przewróconą, mój ty biedaku. Odkąd to zrobiłeś rozbrat ze zdrowym rozsądkiem? Krzaki, do tego jeszcze kępy trawy!... Czyś schował oczy do kieszeni. Czy nie widzisz tam brzegu?

— Brzegu!—powtórzyliśmy obadwaj razem.

— Tak tak!—odpowiedział przeciągle Rube—brzeg rzeki. Zdaje mi się, że jest tam rzeka...tam...prosto waszych nosów, chyba że jesteście ślepi jak małe *sartque*. A cóż nic jeszcze nie widzicie?

Ani ja, ani Bill, nie odpowiedzieliśmy ani słowa.

Zaczynaliśmy wreszcie pojmować myśl Ruba, i oczy nasze razem z myślami skierowały się od razu na brzeg strumienia, który właśnie zdaje się miał na myśli stary strzelec. Wspominałem wam już czytelnicy, że mała rzeczka płynęła prosto na liniję obozową i tworzyła z jednej strony naturalną granicę. Mogliśmy się przekonać z naszej pozycyi, że ku nam właśnie płynęła, bo dostawszy się do stóp góry którąśmy zajmowali, zmieniała koryto, tworząc łuk krzywy. Obóz nieprzyjacielski zajmował lewy brzeg, chociaż wydawał się być na prawym, kiedyśmy na nią patrzyli z przeciwnej strony biegu. Aby się więc dostać na przeciwną stronę trzebaby przejść liniję koni, które były przywiązane bardzo blisko wody.

Przypatrzywszy się należycie miejscowości, przekonałem się, że nie będzie rzeczą niemożebną do uskutecznienia dostać się niepostrzeżonym do obozu, ale tylko trzymając się zupełnie pod wodą, bo mogliby spostrzedz pływaka na jej powierzchni. Nie podobna było brać ze sobą konia, dla ratunku w ostatecznej chwili.

Tak przynajmniej sądziłem. Widocznie jednak Rube miał świetny projekt w myśli, bo oto dowiecie się zaraz planu jaki sobie ułożył i wnet nam objaśnił.

— No więc zobaczyliście teraz brzeg nie prawda? rzekł do nas po chwili milczenia.

— Nie jest to jednak bardzo pochyły brzeg odpowiedział z niechęcią Garey.

— Prawda, nie jest tak wysoki, jak spadziste brzegi Missouri, albo skaliste brzegi rzeki Wężowej, ale jeżeli nie jest tak wysokim, jakby być powinien, staje się wyższym co minuta. możecie mi wierzyć.

— Sądzisz, że brzegi się podnoszą. Czy to chciałeś powiedzieć?.. Za...za... pewne! albo, co na jedno wychodzi, jest tam coś, co opada w miarę jak!...

— Woda, chciałeś powiedzieć?

— A tak, woda, która na szczęście nasze opada cal za calem a nim upłynie godzina, będzie naprzeciwko obozu pochyłości, pół stopy wysoka.

— I sądzisz, że mógłbym dostać się do obozu, czołgając się, zasłonięty brzegiem.

— Ma się rozumieć! Któż ci zabroni? To tak łatwe, jak wyciągnąć królika z kapusty.

— Ale koń... jakże go podprowadzić blisko?

— W ten sam sposób. Mogę wam zaręczyć że dno tej rzeki jest dosyć głębokie, ażeby ukryć największą szkapę, a przytem woda podniosła się znacznie wskutek ostatniego deszczu. Koń będzie mógł przejść w bród, albo płynąć jak mu się podoba a brzeg niepozwoli Indyjanom zobaczyć go. Zresztą jeżeli będziesz chciał, to go możesz zostawić w wodzie.

— W wodzie?

— Naturalnie! twoje zwierzę zaczeka na ciebie, a jeżeli się nie będzie zachowywało spokojnie, to go przywiąż do brzegu. Nie obawiaj się, żebyś go nie mógł podprowadzić tak blisko, jakbyś chciał, ale znów nie podchodź zbyt blisko zwłaszcza pod wiatr, ażeby indyjskie konie nie zwąchały cię. Pamiętaj o tem wszystkiem, a pójdzie dobrze, oto przestrzeń, jaką prawdopodobnie będziesz miał do przebycia wynosi nie więcej nad dwieście kroków. Jeżeli porwiesz młodą dziewczynę, będziesz mógł swobodnie przelecić tę przestrzeń, ręczę ci za to skocz tylko prędko na konia i uciekaj galopem, jakbyś miał ogień po za sobą wdrapawszy się na górę, jedź prosto do zarośli, gdzie będziemy wszyscy ukryci i zjedzą dyjabła te czerwone skóry, jeżeli nie będą się trzymać w odległości naszych strzałów karabinowych. Oto macie cały mój plan!

W samej rzeczy, plan ten wydał mi się możebnym do uskutecznienia. Opadanie wody było nowem żywiołem powodzenia. Nie zauważyłem tej okoliczności. Ale Rube dla tego to zdragał się tak długo z wypowiedzeniem swojego zdania, że obserwował właśnie ten fenomen podczas kiedy stał oparty o lufę swojego karabina. Jego bystre oko odkryło okrążenie się poziomu wody o parę cali, przez czas półgodzinny jakiśmy spędzili w tem miejscu, a teraz, kiedy zwrócono moję uwagę na ten wypadek, mogłem sam się o tem jasno przekonać że brzegi były znacznie się podwyższyły od czasu naszego przybycia.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Lud, pieśni, baśnie, zwyczaje i przesądy ludu z Mazowsza Czerskiego, wraz z tańcami i melodyjami, zebrał Kornel Kozłowski. Warszawa, w drukarni K. Kowalewskiego. 1867 r.

Pragniemy zwrócić uwagę ceniącego rzeczy krajowe ogółu, na dzieło nie świeże wprawdzie. lecz nieznane publiczności, gdyż dla braku reklam i dzięki obojętności *naszej* dla podobnych zbiorów— dotąd w całym prawie nakładzie spoczywa na półkach księgarskich. A szkoda mozolnej i sumiennej pracy autora, natchniętej zacną myślą obznajmienia ogółu z rodzinnemi skarbami naszemi, pracy stanowiącej bogaty materyjał do etnografii słowiańskiej! Znajdujemy tu wyczerpującą monografiję danej okolicy pod względami wymienionemi w tytule. Ze względu przecież na doniosłość swą, praca ta przedstawia interes ogólnego znaczenia, przez porównania podań pieśni i zwyczajów z temiż zabytkami ludu nie tylko różnych prowincyj polskich, lecz całej Słowiańszczyzny. Widzimy tu też same głosy, myśli, formy objawiające się w całej wielkiej rodzinie Słowian, odmiany i cechy im właściwe, a nierozrywające ich bratniej jedności.

Dzieło p. K. Kozłowskiego daje nam poznać głębiej ducha, charakter i naturę naszego ludu w ogóle, rozświetlając szczegółowy widok na poznaną dokładnie jedną okolicę, i nie dla badacza już, lecz dla każdego miłującego rzeczy swojskie czytelnika przedstawia wartość wielką, obojętnych nawet zająć może i zainteresować.

Jeżeli z przyjemnością słuchamy szczebiotu dziecka usiłującego na jaw wydobyć swe myśli i uczucia, czyliż obojętną nam będzie piosnka ludu płynąca z jego życia, tradycyi, gdzie obok szczerości i prostoty, widzisz odzwierciadloną całą dolę jego, wszystko co go otacza i w nim spoczywa. Uderza cię tu — to prawda i pełna prostoty głębokość, — to czysty wdzięk poezyi, to wreszcie nie troszczące się o formę, wesołość i humor samorodny. Oprócz mnóstwa różnorodnych pieśni ujętych w stosowne podziały, poprzedzonych obszernym wstępem i opatrzonych objaśnieniami, znajduje się tu zbiór ciekawych baśni, opisy zwyczajów, obraz bytu, obyczajów, przesądów zabobonów i t. p.

Ze względów filozoficznych praca ta ma niemniejszą wartość, w pieśniach bowiem zachowane jest bez zmiany narzecze, a w więk-

szej części baśni, oryginalny tok i sposób mówienia ludowy.

Dzieło p. Kozłowskiego uważać należy za cenny przyczynek do prac badaczów i zbieraczy takich jak Kolberg, Wójcicki, Żegota Pauli, Wacław z Oleska, Lipiński, Konopka i inni dopełnia ono ich, a w wielu razach prace te wartością swą przewyższa.

A. M.

Najlepsze wiązanie, obrazek dziecinny z życia pensyjonarskiego w 1-ym akcie, uwieńczony nagrodą konkursową przez Antoniego Porębskiego. Biblijoteczki dziecinnych amatorskich teatrów, tomik 3-ci. Lwów. Nakładem księgarni polskiej. 1875 r. str. 64 in 16-o cena kop. 20.

Od pewnego czasu widzimy szczęśliwy bardzo zwrot w piśmiennictwie, przeznaczonem dla wieku dziecięcego. Poznano wreszcie, że chcąc przemówić do młodocianego umysłu, potrzeba przedewszystkiem zniżyć się do jego pojęć, uczuć i poglądów, trzeba wstąpić w sferę życia dziecięcego i na tle jego malować obrazki, opromienione blaskiem zacnej myśli, serdecznego ciepła i prostoty duszy. Zaczerpnąwszy z tej sfery właściwy materyjał, należy uwydatnić go w prostych sytuacyjach życia, któreby same przez się uczyły, z którychby bez nudnych wywodów moralnych ujawniała się myśl zacna, a dla umysłu dziecięcego pożyteczna i przystępna. Dalej należy usunąć wszelką chorobliwą czułostkowość i nienaturalność wraz z niespodziewaną interwencyją kary lub nagrody, jako motoru, mającego niby zachęcić do hołdowania cnocie i dobrym uczynkom a unikania złego. Pedagogika oddawna już potępiła tę zasadę. Należy wzbudzać w młodych serduszkach zamiłowanie cnoty dla niej samej tylko, poruszając ukryte sprężyny popędów duchowych jako sił, dających łatwo skierować się w pewnym kierunku. Rozbudzić silny popęd do dobrego, a wstręt do złego, oto najsilniejsze i najszlachetniejsze podstawy prawdziwej moralności. W tym więc kierunku działając, należy przedstawiać pewne sytuacyje, któreby podniosłością i estetycznością swoją poruszały szlachetne popędy ducha dziecięcego. A nic tak nie przemawia do głębi jego, jak czyn. Wszelkie dowodzenia, lub kazania moralne, przechodzące tylko wywierają wrażenie.

Uwagi te przychodzą nam na myśl przy rozbiorze jednego z najudatniejszych płodów tego rodzaju twórczości, który w znacznej części odpowiada wskazanym wyżej wymaganiom.

Przypatrzmy się bliżej pełnemu prawdy obrazkowi, który autor żywcem z życia dziecięcego zapożyczył. Rzecz tu idzie oto, jakie wiązanie mają złożyć swej nauczycielce starsze pupilki, bo będące już na ukończeniu. Daruje szanowny autor, że zwrócimy mu tu właśnie uwagę, że zbyt upełnoletnił swoje bohaterki, które w ciągu utworu przemawiają tak dziecięcym szczebiotem, że śmiało mogłyby być odesłane do klasy pierwszej lub drugiej, na czemby cała rzecz znakomicie zyskała. Trzeba wam bowiem wiedzieć łaskawi czytelnicy, że zacna myśl, jaka przyszła do główki tym młodym turkaweczkom, mogła śmiało zapukać do główek młodszej daleko dziatwy, coby dla rówieśników jej lepszym było przykładem, a i całość utworu daleko właściwiej by się przedstawiała. Szczególniej stosujemy to do ciekawej i gadatliwej Mani. Słowem w utworze p. P. widzimy świat czysto dziecięcy, w którym młodszą dziatwę zastępują starsze podlotki. Usterka to jednakże bardzo drobna i prawie nie psuje efektu całości.

Osnowa utworu znana już dosyć, ale w oryginalny dosyć obrobiona sposób. Po długich naradach, dziewczynki postanowiły zrobić miłą niespodziankę swej ochmistrzyni, wspólnemi siłami nauczywszy czytać służącą Anusię. Na tle tej osnowy, żywemi a pełnemi prawdy barwami maluje autor życie dziecięce. Niektóre myśli i uczucia pochwycone są tu żywcem z życia młodocianego pokolenia. Postacie dziecięce doskonale skreślone prócz jednej tylko, która obok głównej tendencyi, nadaje utworowi inny jeszcze kierunek moralny. Autor przedstawia tu dziewczynkę, która ma tę niemiłą wadę, że lubi wszędzie wścibić ciekawy nosek, a później rozgadać wszystko co słyszała. Otóż mała ta grzesznica poprawia się nagle po jednem krótkiem przemówieniu nauczycielki. P. P. nie zwrócił uwagi na to, że nawet w utworach dla młodocianego wieku przeznaczonych, nie należy nigdy schodzić z drogi prawdy psychologicznej. Przytem tego rodzaju sytuacyja jest zupełnie pod względem etycznym chybioną. Trzeba było małą gadulską a razem z nią i młodych czytelników jasno przez jakiś fakt przekonać, że tego rodzaju obyczaj jest brzydką wadą, a wtedy dopiero poprawiać winowajczynię.

Poczytujemy autorowi za bardzo szczęśliwy pomysł, że nie pozwolił młodym bohaterkom swoim iść za cudzą radą, a kazał samym z siebie wysnuć poczciwy zamiar. Nadaje to utworowi większą daleko doniosłość etyczną.

W ogóle utwór p. P. jest miłym nader przybytkiem do ubogiej skarbnicy prawdziwie pożytecznych dla młodocianego wieku utworów. Układ sceniczny bardzo dobry i dogodny dla dziecinnych teatrów amatorskich.

Imieniny Mamy, komedyjka dla dzieci w 2-ch aktach przez Maryją Grabowską. Biblijoteczki dziecinnych amatorskich teatrów tom 4-ty. Lwów. Nakładem księgarni polskiej. 1875 r. str. 32 in 16-o, cena kop. 15.

Uwagi, któreśmy wypowiedzieli na początku poprzedniej oceny, zastosować można i do wzmiankowanego utworu, który zyskał też pochwalną odezwę komisyi konkursowej, a autorka jego otrzymała nawet poprzednio za inny tego rodzaju utwór pierwszą nagrodę. Widzimy tu obrazek, również żywcem z życia dziecięcego pochwycony, a pod względem artystycznym staranniejsze tu nawet dopatrujemy wykończenie. Donioślejsza jednakże tendencyjność utworu p. Porębskiego i dogodniejszy układ sceniczny skłoniły członków komisyi dodania mu pierwszeństwa przed utworem pani Grabowskiej. Prawdopodobnie też przyczyniły się do tego i dwie ważne dosyć usterki. Oto autorka przedstawia nam nieznośną dziewczynkę która, aby nie pozwolić rodzeństwu uprzedzić się w złożeniu podarunków matce w dniu jej imienin, wyrządza różne psoty, i to w tak złośliwy sposób że wykazuje dosyć wybitną wadę moralną. Tymczasem przy końcu utworu rozczula ją widok darów, złożonych matce, i bez żadnego jasnego powodu obiecuje poprawę, niczem jej jednakże nie usprawiedliwiając. Druga zaś dziewczynka Anielka, która od samego początku jest najsurowszą względem siostry, w końcu z wielką niechęcią patrzy na przebaczenie, jakie jej matka i reszta rodzeństwa udzielają. Kreśli tu więc autorka postać dosyć ujemną nie skarciwszy nawet należycie zatwardziałości gniewu młodej dziewczynki.

Dwie te usterki ujmują znacznie wartość utworu p. G., który jednakże w całości jest artystycznym prawdziwie obrazkiem, pełnym prawdy, naturalności, prostoty i niepospolitego wdzięku. Jeżeli szanowna autorka postara się w przyszłości o unikanie tego rodzaju usterek, co będzie dla niej rzeczą bardzo łatwą, powitamy w niej najzdolniejszą może twórczynię na polu piśmiennictwa dziecięcego. Niepospolity artyzm i znajomość życia, oto cenne przymioty, jakie posiada ona w wysokim bardzo stopniu.

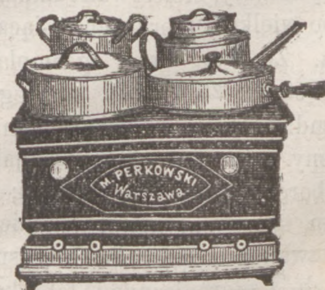
P. P.

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

Kuchnie naftowe.

Niejednokrotnie zapytywano nas nietylko z różnych okolic kraju, ale i odleglejszych miejsc cesarstwa, czy sprzedawane po handlach warszawskich kuchnie naftowe są praktycznemi w użyciu lub nie? Z udzieleniem jednakże w tej materyi odpowiedzi wstrzymywaliśmy się dotąd, dopóki nie przekonaliśmy się sami o wysokich zaletach ekonomicznych nowego wynalazku.

Poznawszy wysoką praktyczność naszej kuchenki naftowej, staraliśmy się dokładnie zbadać cały ten przedmiot i uważamy go za konieczny sprzęt nietylko dla najbiedniejszych ale nawet najbogatszych domów. Dla jednych służy do przygotowania wszelkich pokarmów w każdej chwili z małym zachodem, w krótkim czasie w sposób bardzo oszczędny gdyż wydatek na materyjał opałowy, jest tak tanim że z żadnym dotąd używanym porównać się nie da. Kwaterka nafty aż nadto wystarcza do zgotowania gospodarskiego obiadu, oblicza się zaś godzinę paliwa na półtory kopiejki;—szybkość zaś zagotowania zależy od większej szerokości knota w lampce. Dla wybrańców zaś fortuny również służy z korzyścią w każdej potrzebie na razie, w wypadkach chwili.



Sposób obchodzenia się z rzeczonemi kuchniami jest nader łatwy i prosty. Napełniwszy lampkę naftą :o ile można najlepszą,

niedolewając zupełnie pełno, aby pozostawić w niej pewną ilość powietrza, obcina się knot równo i ustawia kominek żelazny w ten sposób, aby otwór oszklony odpowiadał szrubie od knota. Wtedy zapala się lampkę za pomocą stoczka lub kawałka papieru, utrzymując nie wielki płomień dopóki nie postawi się naczynia na wierzchu kominka, wtedy dopiero za pomocą kluczyka powiększa się płomień aby był jasny i duży, byle tylko dna naczynia niedotykał. Gdy skutkiem działania ciepła przyrząd rozgrzeje się, płomień zwiększający się, zmniejszyć wypada.

Po skończonym gotowaniu, płomień należy zmniejszyć, naczynie zdjąć z wierzchu i lampkę zagasić. W ten sposób używane kuchenki w zupełności odpowiadają swemu przeznaczeniu, czyniąc znakomite przysługi, tak w mniejszem jako i większem gospodarstwie, zwłaszcza wobec tak zdemoralizowanej służby domowej są nieocenionym nabytkiem. Przy kuchni naftowej, kucharka zwłaszcza nie umiejąca jeść gotować (a takich właśnie mamy najwięcej) z całym zasobem swych grymasów stała się już niemal nietylko niepotrzebnym fantem, ale nawet zbytecznym ciężarem. Dziś bowiem każdy z małym zachodem może przyrządzić tak dla siebie jako i swej familii potrzebne pożywienie, gdyż rzeczone kuchnie nietylko gotują, ale można na nich smażyć, dusić, piec mięsiwo lub ciasta, w każdem upodobanem miejscu gdyż nie wydają z siebie najmniejszego swędu.

Odpowiednio rozmaitym potrzebom ekonomicznym i kuchnie rzeczone wyrabiane bywawają, największa jednakże niezajmuje więcej powierzchni jak łokieć kwadratowy. Fajerek czyli otworów do gotowania mają po jednym po dwa, trzy a nawet cztery, a ilość płomieni czyli knotów poczynając od jednego dochodzi aż do dziewięciu.

Wyrabianiem tych kuchni zajmują się w Warszawie pp. M. Perkowski dawniej Norblin, ulica Bielańska Nr. 12, Fryderyk Trelle, Nowy-Świat Nr. 76; Robert Bothe, Nowy-Świat N. 38. Dobrze to zasłużone w kraju firmy dają więc najlepszą rękojmię i pod względem wyrobu kuchni naftowych.

Obok jednakże wyrobów rzeczonych fabrykantów, znaczna ilość kuchni naftowych sprzedaje się po handlach warszawskich sprowadzanych z zagranicy, a różnica pomiędzy niemi jest ta: iż wyrabiane w Warszawie zalecają się nieporównanie wyższemi przymiotami od zagranicznych i nieporównanie są tańsze. Nie idzie zatem, aby za granicą nie umiano tak samo dobrze wyrabiać jak w Warszawie, ale handlarze sprowadząc je, w fabrykach wybierają auszusy, sfelerowane sztuki i t. p. których po wielkich fabrykach tysiącami naliczyć można. Zdefektowane egzemplarze zwykle fabryki oddają za wartość zużytego materyjału, handlarze zaś po sklepach nakładają na nie ceny takie prawie same, jakie istnieją na wyborowe i najlepsze gatunki; obałamucając tym sposobem opiniję publiczną, jakoby pozostawali w bezpośrednich stosunkach handlowych z zagranicznymi fabrykantami, poprzestając jedynie za owe pośrednictwo w sprzedaży, na procencie udzielanym jakoby ze strony fabryk.

Porównywając jednakże cenniki handlarskie z cennikami naszych fabryk, przekonywamy się, że tam gdzie inprowizowani komisanci domów zagranicznych, napierają się za kuchenkę pojedynczą trzy lub półtrzecia rubla taż sama jeno nieco dokładniejsza kosztuje u p. M. Perkowskiego rubli dwa kopiejek dwadzieścia pięć, zapewniając obok tego handlującym odpowiedni rabat. Podobne różnice moglibyśmy wykazać na każdym szczegółowo pojedynczym przedmiocie, który pomijamy jednakże jako niemający ścisłego związku z interesem naszych czytelników, podajemy jedynie cennik wyrobów fabryki p. M. Perkowskiego, jaki właśnie mamy pod ręką.

Kuchnia pojedyńcza o jednym płomieniu Nr. 1.	Rs.	2 kop.	25.
„ „ dwóch płomieniach. N. 2.	Rs	3 kop.	70.
„ podwójna „ „ N. 3.	„	4 „	—
„ czterech płomieniach N. 4.	„	7. „	50.

Naczynia.

Rondel mały.	Rs.	„ kop.	60
„ duży.	„	„ „	90.
Kociołek duży.	„	„ „	90.
„ mały (objętości półtory kwarty wody.	„	„ !„	70.
Imbryk duży.	„	„ „	90.
„ mały.	„	„ „	65.
Maszynka do kawy. Nr. 1. . . .	„	1 „	65.
„ „ „ 2. . . .	„	2 ,	„
„ „ „ 3, . . .	„	2	30.
„ „ „ 4. . . .	„	3 „	„
Czekoladowa mała.	„	1 „	65.
„ większa.	„	2 „	„
Patelnia większa.	„	„ „	75,
„ mniejsza.	,	„ „	50,
Wanienka do ryb duża.	„	2 „	„
„ „ mniejsza.	„	1 „	50.

Oprócz innych przyrządów do pieczenia ciast pieczystego i t. p.

Kuchnie zatem naftowe w zupełności odpowiadają dzisiejszem potrzebom i wymaganiom ekonomicznym i zapewniły sobie na długi czas prawo bytu, to jest dotąd dopóki miejsce nafty jeśli nie w całości to przynajmniej w znacznej części nie zastąpi użycie gazu węglowodornego, a na co nie jeden dziesiątek lat poczekać nam wypada.

J. L. Kaczkowski.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 (18) Августа 1875 г. – W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.